

# VariArt



WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA  
PUBLICZNA w OLSZTYNIE



[www.wbp.olsztyn.pl](http://www.wbp.olsztyn.pl)



pismo kulturalno-literackie 02/2009



ISSN 2080-1483



W styczniu bieżącego roku zakończyły się długotrwałe negocjacje olsztyńskich pracowników miejscowej jednostki IPN-u z warszawską siedzibą macierzystą. Jako dowód pozytywnego przewodu przedstawili oni zamieszczone obok zdjęcie wraz z kilkudziesięcioma stronicami dokumentacji, argumentującej śmiałą tezę postawioną już piętnaście lat temu przez jednego z olsztyńskich naukowców (pragnie on zachować anonimowość). Ujawniono w ten sposób zadziwiająca całą Polskę prawdę! – iż licencję na krupówkowe białe niedźwiedzie – odwieczny, zdawałoby się, element marketingowy Zakopanego – posiadał pierwotnie Olsztyn! Stolica Warmii i Mazur, a raczej ówczesny jej samorząd, sprzedał patent na maskotkę-giganta delegacji podstępnych górali, których, jak mówi zakopiańska tradycja, wystali potomkowie samego Sabaty. Wykonał on wcześniej kompetentny i szokujący dla niego wywiad gospodarczo-środowiskowy, na podstawie którego stwierdził, iż bez takiej reklamy Zakopane na zawsze pozostanie prowincją regionu tatrzańskiego, gdyż stolica Krainy Tysiąca Jezior wyciągnie siły i pieniądze z wszystkich narciarzy przyciągniętych medialnym misiem. Sabata stwierdził również z przerażeniem, iż sprytni włodarze Olsztyna w ten sposób jednocześnie promują warmiński przysmak regionalny, czyli miód spadziowy, oblewając nim zmienacka zachwyconych turystów. Ostatecznie więc delegacja górali odurzyła wiadomymi sobie sposobami samorządowców Olsztyna, wydobyla od nich patent na puszysty gadżet i w pośpiechu wyjechała, pozostawiając po sobie jedynie koszyk oscypków w lnianych, haftowanych krzyżykiem chustach. Jednak jeden z białych niedźwiedzi schował się przed branką w piwnicy domu przy ul. Nowowiejskiego i tam, żywiąc się ziemniakami i grogiem, przetrwał zsyłkę w góry oraz zawieruchę wojenną. Zdjęcie dokumentuje pierwsze po wojnie ujawnienie się dzielnego warmińskiego białego niedźwiedzia!... □

Anna Rau

## FOTO MONTER



Zdjęcie wykonane na Targu Rybnym w 1948 r.

Na zdjęciu I. Sz wajkowska

Wydawca:  
Wojewódzka Biblioteka Publiczna  
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5  
tel. 089 524 90 32; e-mail: [wbp@wbp.olsztyn.pl](mailto:wbp@wbp.olsztyn.pl)

Redakcja numeru: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau,  
Anita Romulewicz, Waldemar Tyчек  
e-mail: [variant@wbp.olsztyn.pl](mailto:variant@wbp.olsztyn.pl)

Grafika i skład: Przemek Kozak; [kozak@sphereoncord.com](mailto:kozak@sphereoncord.com)

Druk: Drukarnia LEO; [info@drukarnialeo.com.pl](mailto:info@drukarnialeo.com.pl)

ISSN 2080-1483



- 02  
Fotomonter II
- 04  
Wywiad z Januszem Przybylskim
- 07  
Poezja → Radosław Pilarski
- 08  
W krainie Oz
- 10  
Mój Olsztyn
- 12  
Proza → Arkadiusz Łuba
- 13  
Proces Sieniewicza
- 14  
Noże → opowiadanie
- 16  
Galeria VariArt-u → UWM
- 18  
Proza → Juozas Šikšnelis
- 19  
Borussiańscy Ambasadorzy Kultury
- 20  
Mazurskie Bullerbyn → recenzja
- 21  
Gustaw Gizewiusz
- 22  
Poezja ostródzka
- 24  
Wskrzyszanie Warmii
- 27  
Mała historia skrzypiec
- 28  
Recenzja muzyczna
- 29  
Ryszard Szmit
- 30  
Felieton
- 31  
Kanion lektur
- 31  
Tajemny Szlak Staromiejski

0 2 / 2 0 0 9

Rozpoczynamy letni sezon nowym, kolejnym numerem VariArtu. Wakacje, olsztyńska Starówka, gołębie, fortepian Szopena na bruku, grajkowie uliczni na bruku, gołębie... Wakacje, ciepło i wszystko gra! A jednak nie... O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni. Wszystko w gumiakach.

Deszczową piosenkę śpiewa Kopernik.

I wiadro podstawia pod dziurawą rynnę...

Blanki mokną.

Ale my, kochani czytelnicy – nie tak! My, uzbrojeni w kalosze i parasole, podążamy Tajemnym Szlakiem, szukamy naszych korzeni ramię w ramię z Gizewiuszem. Na szlak! Wskrzyszać warmińskiego ducha-żywoduca Hobouda.

Na szlaku oto: Brakoniecki, Białkowski, Sieniewicz, Łuba i poeci Ostródy. Po ścieżkach muzycznych prowadzą Przybylski, Kasjaniuk, Szatrawski, Szyflejko i Szmit. Nie-zmokie kury i kaligrafia Urbalewicz!

...Więc to jednak nieprawda, że tylko gołąb i grajek wśród deszczu nam pozostał, ten współczesny Janko Muzykant?...

O co tu chodzi?... Co jest grane?

Przeczytaj VariArt.

Redakcja

VariArt  
pismo kulturalno-



# Olsztyn to miasto idealne

Z Januszem Przybylskim rozmawia Krzysztof Szatravski

– Nasza rozmowa nieuchronnie skupi się na muzyce, zanim to jednak nastąpi, pozwolę sobie wywołać szczególnie ciekawy temat Pańskich studiów nad modlitewnikami i śpiewnikami.

– Moje zainteresowania śpiewnikami, czy raczej modlitewnikami, zaczęły się od absolutnego przypadku. Przed wieloma laty, gdy pracowałem z orkiestrą po raz pierwszy, ówczesny przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej Sergiusz Rubczewski zadał mi pytanie, czy nie chciałbym się osiedlić tutaj na dłużej. Wiele osób, które zakochały się w tym regionie, takich jak Jerzy Hoffman – reżyser, Janusz Majewski – reżyser, Jerzy Satanowski – kompozytor, budowało sobie na Mazurach dache. W tym czasie wielu Warmiaków i Mazurów wyjeżdżało na stałe do Niemiec, pozostawiając gospodarstwa, które przejmował fundusz ziemi. I właśnie Sergiusz Rubczewski zapytał, czy nie chciałbym wykupić od funduszu ziemi takiego gospodarstwa. Jako młody człowiek byłem bardzo zainteresowany posiadaniem takiej bazy dla swojej rodziny i znalazłem taki dom w Skajbotach, kilka kilometrów od Olsztyna, murowany, ceglany dom z pięknymi piecami kaflowymi. Nawet spotkałem się z poprzednimi właścicielami, którzy prosili, aby zachować to w takim stanie. I właśnie podczas remontu tych pieców, wśród drewna i papierów, które miały służyć jako rozpalka, znaleźliśmy dwujęzyczny modlitewnik – jedna strona drukowana gotykiem po niemiecku, a druga po polsku. Zafascynowała mnie właśnie stara, przepiękna polszczyzna. Byłem dosłownie zauroczony tym, że język polski może być tak barwny, tak kolorowy...

– **Większa część tych śpiewników i kancjonałów jest dokumentem renesansowej polszczyzny. Wiele pieśni, hymnów i psalmów wyszło spod pióra Jana Kochanowskiego...**

– Ostatnio dostałem w prezencie Mszał Polski. Wydany w roku 1957, ale jest równie piękną polszczyzną napisany. Jestem zauroczony – wczoraj pół nocy siedziałem i przeglądałem ten mszał. Naprawdę, coś pięknego! Czytam to z większą przyjemnością niż najlepszą powieść. Każda z tych książeczek ma zupełnie inną budowę strukturalną. W swoich niewielkich zbiorach, bo jest to około 150-160 modlitewników i mszałów, mam modlitewniki katolickie i protestanckie, niektóre z nutami.

– **I wiele z nich to unikaty...**

– Kiedy rozpoczęła się polska misja w Iraku, Ministerstwo Obrony Narodowej wydało również modlitewniki i śpiewniki w dwu językach – polskim i angielskim. Mam w tej chwili trzy takie zbiory: dla żołnierzy, dla policji i dla służby więziennej.

– **Wciąż jednak modlitwy i pieśni wiążą się raczej z muzyką niż na przykład dociekaniem na temat religii.**

– Będąc muzykiem skupiam się na formie, na słowie i na melodii



chorału, nie czyniąc między nimi różnic wyznaniowych. Te same melodie ze śpiewników protestanckich inspirowały znaczną część twórczości Bacha!

– **Spojrzenie na muzykę przez pryzmat tekstów i całej kultury duchowej zmienia wiele stereotypowych sądów...**

– W tej chwili czytanie w partyturze tylko linearności, pionów – to już jest za mało. Wydaje się, że mam mniej czasu niż miałem, mimo że prowadzę uporządkowane życie. Dzień się zaczyna, a ja już w nocy nie układam dnia następnego, bo to już jest zaplanowane przed rokiem, tylko myślę nad tym, co mógłbym jeszcze znaleźć w głębi dnia. Idąc na próbę z jakąkolwiek orkiestrą czy zespołem, nie mogę im powiedzieć: „Tu jest za wysoko, tu jest za nisko, tu jest za wolno, tu jest za szybko”, tylko – „Dlaczego nie istnieje system współzależności?”. I im większy zespół, w znaczeniu poziomem artystycznym, tym oczywiście więcej pracy. Wydaje się to nielogiczne?

– **Moim zdaniem nie... A powinno być odwrotnie?**

– Orkiestry o bardzo wysokim poziomie artystycznym wymagają od dyrygenta inspiracji. A ta inspiracja nie przychodzi w momencie wejścia na scenę i pokazania „raz – tu się zaczyna”. Miałem takie sytuacje w pracy z orkiestrą, że po ruchu dyrygenta przez nieokreślony ułamek czasu nie było dźwięku i dopiero później orkiestra wchodziła. Był sygnał i dopiero po chwili był dźwięk. I był razem cały zespół, stutrzydziestoosobowy! I zadałem pytanie: „Jak wy to robicie?”. Na co koncertmistrz, Polak zresztą, powiedział: „Maestro, to jest tak: my mamy trzy momenty. Pierwszy to jest ten, w którym dyrygent daje „raz». Ale my jeszcze nie gramy. Drugi moment to jest ten, w którym publiczność uważa, że powinniśmy grać, ale my jeszcze nie gramy. Trzeci moment to jest ten, że jeśli nie zagramy teraz, to nie mamy po co grać. I wtedy gramy”.

– **Filharmonicy Berlińscy grają z takim właśnie charakterystycznym opóźnieniem.**

– Tak! Każdy dyrygent pracujący z Berlińczykami jest przed nimi!





I w takiej sytuacji wymaganie od zespołu „proszę być ze mną” jest bezsensowne. Ty rób muzykę, inspiruj, a oni będą grać. Tak jak dla skrzypka skrzypce są instrumentem, dla organisty – organy, dla dyrygenta – orkiestra. I wydobyć ze skrzypiec odpowiedniej barwy, odpowiedniego charakteru, to nie jest kwestia wyłącznie tempa i wyłącznie smyczka... – artykulacji. To jest to, co siedzi w tym muzyku i tak samo jest z dyrygentem.

#### **– Osobowość, czy może duchowość człowieka, zakodowana w dźwięku i strukturze muzycznej?**

– Praca nad partyturą jest fascynująca w tym momencie, w którym zaczynam zadawać sobie pytanie, dlaczego kompozytor pisze „obój” i za chwilę włącza trąbkę z tłumikiem w dynamice piano, a obój przed chwilą grał podobny temat w dynamice mezzoforte. I co stanie się z zespołem, w którym każdy muzyk wie, do czego służy jego instrument i potrafi na tej trąbce zagrać piano, z tłumikiem, to potem dyrygent zdaje sobie sprawę, że przecież jest to ciąg melodyczny identyczny w brzmieniu i ta fascynacja partyturą teraz mnie interesuje.

#### **– Zatem fascynacja możliwościami, jakie daje manipulowanie muzycznymi barwami?**

– Otóż to! Jest coś takiego, co psychologia określa mianem „synestezji”. Jest to odbieranie bodźców zewnętrznych więcej niż jednym zmysłem. Tak, jak to się dzieje w przypadku kucharza, dla którego ważny jest nie tylko smak i zapach, ale także kompozycja kolorystyczna, czy jak dla Oliviera Messiaena, który zaczął zapisywać śpiewy ptaków w partyturze. W Polsce jest kilku dyrygentów, którzy słyszą w sposób charakterystyczny dla synestezji, między innymi Zygmunt Rychert.

#### **– Ale również kompozytorzy, na przykład Marta Ptaszyńska... Czy i Pan słyszy dźwięki w taki sposób?**

– Nie śmiałybym mówić o sobie w tym gronie. Ale w tej chwili bardziej mnie fascynuje barwa orkiestry symfonicznej niż jej niedostatki

techniczne. Bo każdy z nas odbiera cały świat w kolorach. Mówimy „płomienna miłość” albo „cisza domowa”, ale mówimy też „cisza morska” albo „cisza przed burzą”, czyli ta cisza ma swój konkretny wymiar, każda inna.

**– W opozycji do barwnych płam, kontury są intelektualnym uproszczeniem, podobnie jak pojęcia, którymi się posługujemy, konstruktem naszego umysłu... – docieramy do słynnego dylematu impresjonistów.**

– Są ograniczeniem po prostu. Dlaczego w „Popołudniu Fauna” Debussy użył: dwa flety, oboje, klarnety, ale tylko waltornie, i nie używa trąbek, puzonów czy tuby. Ale ten sam Debussy pisze „La Mer” (Morze), cudowny poemat, gdzie jego ekspresja wymaga wielkiej orkiestry z dwiema harfami.

#### **– Z tego punktu widzenia słynne Bolero staje się kwintesencją stylu impresjonistycznego.**

– Doskonały przykład, ale myślę o wcześniejszych kompozytorach, na przykład o słynnej operze Charlesa Gounoda. Sposób, w jaki wykorzystuje organy w „Fauście”, to nie jest tylko kwestia stworzenia napięcia w kościele. Scena, w której Mefisto przeobraża się w księdza i jako osoba duchowna grając w kościele chorał wabi w zupełnie niebywały sposób Małgorzatę, dla mnie to jest typowo impresjonistyczne, kolorowe, barwowe przejście z fantazji do rzeczywistości. Ilu mamy takich oszołomów w życiu codziennym, którzy mówią o swojej wielkości? Bach nigdy o sobie nie powiedział: „Jestem wielki”, ale „Jestem małym człowiekiem, któremu Bóg dał talent”. A co było z Mozartem, Beethovenem, Czajkowskim, z Brahmssem?

#### **– Nie ulegali manii wielkości, ale mimo to każdy z nich okupił twórczą wolność zupełnie realnym cierpieniem. A może na tym polega kompromis pomiędzy potencjałem i niemożnością spełnienia?**

– Zawsze muszę postawić sobie pytanie, jak uzyskać ten efekt, który gdzieś wewnątrz słyszę, jak uzyskać efekt barwowy z tych instrumentów, którymi dysponujemy na dzień dzisiejszy. Nie o samych instrumentach myślę. Mimo, że jesteśmy już w Unii pięć lat, że mamy dostęp do instrumentów, że możemy kupować najwspanialsze instrumenty, jakie nam się zamarzą, ale jednak bariera, przede wszystkim finansowa, powoduje, że nie stać naszych muzyków na takie instrumenty, którymi w tej chwili już dysponuje czy Berlińska Filharmonia, czy londyńska Royal Philharmonic Orchestra, czy Covent Garden, czy chociażby Stockholm. Ostatnio słyszałem Brahmsa w wykonaniu Sir Colina Davisa z Philadelphia Orchestra. Wiem, że orkiestra w Filadelfii nie jest orkiestrą stałą, tak jak filharmonia olsztyńska, Filharmonia Narodowa czy berlińska, tylko są to ludzie, których zaprasza się do wykonania projektu, zatrudnia się według określonych potrzeb, ale dobór instrumentów jest zależny od dyrygenta prowadzącego określone wykonanie. I słyszałem wczoraj w radio Finał I Symfonii Brahmsa grany na instru-



foto: Piotr Reszczyński

mentach zbudowanych współcześnie, ale na wzorach z okresu Brahmsa. To jest zupełnie inna barwa orkiestry. To się słyszy jak najwspanialsze organy.

– **To charakterystyczne, że już po raz drugi w dzisiejszej rozmowie pojawiają się organy.**

– I nie jest to przypadek. Kiedyś, w 1973 roku, kiedy robiłem prawykonanie „De revolutionibus” Paciorkiewicza z tekstem Stefana Połoma, mieliśmy koncert tu, w filharmonii, na otwarcie nowej siedziby. Trzecie wykonanie odbyło się we Fromborku. Ówczesny arcybiskup Drzazga powiedział do mnie piękne zdanie: „Wie pan, że po pięciuset latach po raz pierwszy otworzył pan bramę katedry fromborskiej dla orkiestry, bo tam, we Fromborku, jest chyba jeden z najwybitniejszych instrumentów świata – organy”. I to jest prawda, nie ma chyba orkiestry, która mogłaby w brzmieniu, w barwach zastąpić taki instrument jak organy. W tej chwili organy w Świętej Lipce, we Fromborku czy nowo odrestaurowane organy prezbiterialne i główne w katedrze Św. Jakuba w Olsztynie to jest instrument jeszcze niedościgniony dla naszej orkiestry, ale już dościgniony dla takiego zespołu, jakim dyrygował Sir Colin Davis. To jest tak fenomenalna barwa, tak fenomenalny obraz współczesnej, możliwie najbliższej brzmieniowo orkiestry symfonicznej do tej, którą Brahms dyrygował w Wiedniu... Chciałbym wrócić do czasów Brahmsa i usiąść w Konzertverein w Wiedniu, i posłuchać barwy tych dźwięków. Mówi się „czarowny świat muzyki”... Jest w tym straszna prawda, nie piękna, ale właśnie straszna, bo żeby dotrzeć do tej barwy, którą chciałoby się zrobić, trzeba mieć rzeczywiście niebywale dobry zespół. A są takie...

– **W tym momencie dotykamy niezwykle delikatnej, a nawet drażliwej kwestii. Nikt nie przepada za krytyką, o wiele gorsze jednak jest odbieranie nadziei na jakościowy awans.**

– Przypomina mi się stwierdzenie Claudio Abbado. Kiedy jeden jedyny raz był w Polsce, po koncercie Piotr Nędziński w poznańskim studio Telewizji Polskiej przeprowadzał z nim wywiad. Pytał go o plany, o współpracę z Berlińczycami i w końcu zadał pytanie, kiedy będziemy mogli gościć artystę ponownie, na co Claudio Abbado bez zastanowienia powiedział: „Nigdy więcej. Dlatego, że nie ma dla mnie orkiestry w Polsce”. Zapanowało święte oburzenie, tymczasem tacy dyrygenci jak Zubin Mehta, Riccardo Chailly, Daniel Barenboim, jak nieżyjący Leonard Bernstein, jak wspomniany Claudio Abbado i jak wielu innych największych dyrygentów, wymagają orkiestry-stradivariusa. Tak jak wybitny skrzypek,

czy jakkolwiek inny instrumentalista, chociażby Paderewski wożący ze sobą fortepian – wirtuoz musi mieć odpowiedni instrument.

– **Ale może też być odwrotnie. O Arturo Toscaninim mówi się, że potrafił zmusić orkiestrę do grania znacznie powyżej swoich możliwości. Czasami jest to magia wielkiego nazwiska, wiedza i umiejętności, a czasami to trudno uchwytnie „coś”, co sprawia, że ludzie dają z siebie wszystko...**

– Kiedy Toscanini wyjechał z Mediolanu do Nowego Jorku, bardzo źle traktował orkiestrę Metropolitan, awanturował się na próbach, krzyczał, wyzywał muzyków, zrywał próby. I wreszcie ktoś nie wytrzymał i powiedział: „Maestro, przecież tam, w Mediolanie, był pan innym człowiekiem, owszem nerwowym, ale nie krzyczał pan tak, jak na nas, dlaczego pan to robi?”. Toscanini zastanowił się przez chwilę i odpowiedział: „Bo tu warto”. I to jest cała odpowiedź. Dyrygent awanturuje się, jeżeli widzi możliwości zespołu, ale także czuje niechęć wykonania. Przez te czterdzieści parę lat pracy uknułem dla siebie kategoryzację orkiestr. Pierwsza kategoria to jest zespół, który i może, i chce. Druga kategoria – może, ale nie chce. Trzeci, który nie może, ale bardzo chce. I czwarta kategoria to zespoły, które nie mogą i nie chcą. Oczywiście najlepiej pracuje mi się z tą trzecią grupą, która nie może, ale za to bardzo chce. I wtedy efekty są najlepsze.

– **Dążenie do doskonałości wymaga jednak czasu.**

– Na przestrzeni wielu lat miałem przyjemność dwukrotnie jako muzyk wystąpić z Arturem Rubinsteinem. W obydwu przypadkach na bis zagrał Poloneza As-dur i zagrał znacznie wolniej niż za pierwszym razem. Jako młody muzyk spytałem, dlaczego tak wolne tempo w stosunku do poprzedniego wykonania, a wielki pianista spojrział i odpowiedział: „Wiesz, bo umiem”. I w tym jest cała mądrość. Tempo szalenie zależy od treści muzycznej, to jest niezwykle ważny element tworzenia.

– **Jednak czas, czy może raczej rozszerzające się spektrum doświadczeń, zmienia również nasz sposób słyszenia.**

– Tak jest. Nie zapomnę nagrania „Karnawału rzymskiego” Berlioza dokonanego przez Toscaniniego z orkiestrą filadelfijską. Tempo po solo rozkowym wydawało mi się kiedyś niemożliwe. Po wielu latach wpadła mi w ręce kasetka z tym nagraniem. I było to zupełnie inne doświadczenie. Jakież spokoj, jakie to jest logiczne! Dopiero zacząłem zauważać relacje między tempem wstępu, Adagia, rozkowego solo, logikę następstw. Inaczej być nie może!

– **Ta anegdota jeszcze raz uświadamia, jak dalece subiektywna jest ocena wartości tego, co dokonuje się w czasie.**

– Mówi się, że z dyrygentem jest tak jak z dobrym winem, im starsze, tym lepsze. Nie od rzeczy jest uczenie dyrygentów psychologii czy też pedagogiki społecznej. Dla dobrego dyrygenta ważna jest świadomość wydarzeń z życia zespołu, co uwarunkowuje między innymi sposób pracy z orkiestrą.

– **Najważniejszy jednak pozostaje talent, te wrodzone predyspozycje, które sprawiają, że indywidualny punkt widzenia staje**



się punktem widzenia całego zespołu, a w końcu całej sali słuchaczy...

– Podczas obchodów stulecia New York Philharmonic ówczesny szef orkiestry Zubin Metha prowadził tylko Uwerturę z „Zemsty nietoperza”, a pozostałą część wieczoru poprowadził amerykański komik Danny Kaye. Orkiestra z szacunku do jego muzykalności, do jego talentu i umiejętności zagrała rewelacyjnie. Orkiestra musi mieć szacunek do twojej wiedzy. Jeżeli naprawdę wiesz, co robisz, i robisz to z wnętrza, to masz ten „palec boży”, który każe im robić to, co chcesz. Nic innego, ani krzyki nie pomogą, ani żebyś nie wiem jak fachowy był, w znaczeniu manualnej techniki dyrygowania, nic nie pomoże. Jest coś i już. I to jest właśnie fascynujące w muzyce. Ta sama partytura, to samo tempo – i jeden ma to coś, a drugi nie ma. I uważam, że jest to optymistyczne, że po nas przyjdą lepsi, że będą mogli uczyć się na błędach i sięgać dalej.

– **A zatem wrodzone predyspozycje determinują możliwości artystyczne dyrygenta?**

– Kiedyś jako altowiolista miałem okazję grać pod batutą Johna Barbirolliego. Oczywiście zjechało się kilkudziesięciu młodych dyrygentów z całej Polski, aby podpatrywać mistrza przy pracy. Na marginesie powiem, że nie rozumiem, dlaczego zanikł ten zwyczaj. Wygląda na to, że młodzi dyrygenci wstydzą się albo wiedzą więcej. I jeden z tych młodych zadał mistrzowi pytanie: „Co zrobić, by zostać tak wielkim dyrygentem jak pan?”. Odpowiedział: „Właściwie to żadna sztuka. Partytur można się nauczyć na pamięć, można się nauczyć skal i możliwości technicznych poszczególnych instrumentów, technikę dyrygencką można wyćwiczyć przed lustrem, wszystkiego się można nauczyć, tylko jeszcze jedno – dyrygentem trzeba się urodzić”.

– **Rozwój orkiestry wymaga specyficznie pedagogicznego podejścia, zwłaszcza podczas planowania wydarzeń. W jakim kierunku będą zmierzały zmiany w nadchodzącym sezonie?**

– Patrząc na tradycje londyńskich filharmoników, orkiestry Philharmonia czy Metropolitan, czy wreszcie Berlińczyków, to jest to historia nie dłuższa niż sto, sto trzydzieści lat. Jednym z warunków ich sukcesów są wielkie osobowości dyrygentów, którzy pracowali z tymi zespołami. Im więcej tego rodzaju wyzwań, tym wyższy poziom zespołu, a to z kolei powoduje, że orkiestra reprezentuje coraz wyższy poziom i coraz chętniej ci wybitni chcą z takim zespołem pracować. W takim przypadku następuje sprzężenie zwrotne. Zależy mi na wywoływaniu i wspieraniu takich procesów, i dlatego nowy sezon ustawiamy pod kątem najwybitniejszych polskich dyrygentów.

– **Podstawowy kierunek zostanie zatem utrzymany? Pozwoli Pan, że wyrażę nadzieję wielu melomanów, że będzie to przynosiło podobnie wartościowe rezultaty jak w sezonie, który dobiega końca?**

– Po tych siedemnastu miesiącach pracy tutaj doszliśmy z żoną do wniosku, że Olsztyn jest absolutnie idealnym miastem do tworzenia, do robienia czegoś naprawdę wielkiego. □

## Radosław Pilarski

### Tęsknota

W jakież to losu strony wiatr mi Cię odebrał, utracone Dziewczę?  
 Ukaż mi się mgło ulotna. Chcę twym zostać piewcą.  
 Nie mnie jednemu cudną byłaś Muzą.  
 Do dziś z pamięci wymazać Cię nie umiem, Wysokopienna Rózo.  
 Każdej niemal nocy w snach Cię widzę, Arkadyjska Dolino.  
 Do głowy mi uderzyłaś niczym słodkie, młode wino.  
 Lotosie zakwitający lata każdego w mokradel życiodajnych wodzie.  
 Nie potrafiłem, wybacz, zagościć w Twym ogrodzie.  
 W uszach słodycz słów twych, niby Lutnię, słyszę.  
 Do snu każdego marzenie o spotkaniu naszym mnie kołysze.  
 Na wskroś duszę mą nęka wieczora każdego za Twym spojrzeniem  
 tęsknota.  
 Lecz, niestety, ustała nagle dwojga dusz bratnich WSPÓLNOTA.  
 Ty przeto, Najmilsza, wprowadziłaś mnie na szczęścia pierwszego  
 rajską łąkę.  
 I to Ty sprawiłaś, iż drzewo życia mego puściło świeże pąki.

19.01.2008

### Wyznanie

Kocham cię za uśmiech, umiar, za smutku czas razem przeżyty.  
 Kocham, mimo że nie dane mi z Hadesu wydobyć drogiej Eurydyki.  
 Kocham cię, ulotnej i zmiennej wcielenie nuty!  
 Kocham twe włosy falujące na wietrze niczym fugowane frazy.  
 Kocham kantylenowy głos twój. Uwagą pragnę go obdarzyć.  
 Kocham każde twoje słowo fanfarami kornetów czyste.  
 Kocham tchnienie twoje, miła – słodyczy madrygału bliskie.  
 Kocham lica twojej twarzy jabłkiem granatu się malujące.  
 Kocham cykorii i chabrów błękitną oczu twoich łąkę.  
 Kocham, choć zdobywałaś wyższe od moich szczyty,  
 choć usunęłaś mnie w krainy swej cienie.  
 Kocham, bo niczym pastorella pogodna jasnym emanowałaś  
 spojrzeniem.  
 Kocham cię, o sarnie, delikatnej urody oblicze!  
 Miłowałem i miłuję, jak Alighieri kwiat życia swego, BEATRYCZE.

31.03.2008



rysunek i kaligrafia: Zbigniew Urbalewicz

## Grzegorz Kasjaniuk

## W krainie Oz



Dwudziestego czwartego kwietnia w Olsztynie zagrał zespół Budgie. Czy jednak ten fakt pozostanie tylko notą informacyjną w „Kalendarzu Olsztyna”? Czy też wpłynie kreatywnie na olsztyńskie, ba, regionalne środowisko artystyczne? Czy warmińsko-mazurska bohema doceniła ten fakt, czy też był to tylko pochód dinozaura? Strach pomyśleć, że to wydarzenie mogło mieć li tylko wymiar nostalgiczny dla dojrzałego już pokolenia, a nie kreatywny – dla środowiska mającego tworzyć nowy wizerunek regionu. Zresztą pojawiające się przed koncertem głosy równające występy Budgie z krajowymi klezmerskimi koncertami Smokie były wymowne. Lepsza dyskredytacja niż uznanie, że w końcu i w Olsztynie może zagrać w pełnym wymiarze artysta. Może faktycznie lepiej na wyobraźnię działa wyobrażenie niż dostępność na wyciągnięcie ręki. Bo jak legendę można już dotknąć, to powszednie.

Warto zatem na ten występ spojrzeć z kontekstem – skoro sama muzyka nie czyni już wydarzeniem.

Przede wszystkim mogliśmy już nigdy nie zobaczyć legendy hard rocka w stolicy Warmii i Mazur – ich obecność zawdzięczamy Ozzy’emu Osbournowi. Nie bezpośrednio, ale poprzez jego zły stan zdrowia i niezdecydowanie. Do śpiewania w Black Sabbath oczywiście. Dzięki temu Ronnie James Dio powrócił do gry z muzykami Sabbath pod szyldem Heaven & Hell. Ale jaki to miało wpływ na występ Budgie w Olsztynie? Prosty. Ronnie dał wolne swoim muzykom na czas gry z Heaven & Hell. Każdy z nich gdzieś postanowił się zacześcić – Craig Goldy zrobił to w Budgie. Dzięki temu mieliśmy

niespotykaną okazję poznać na żywo grę muzyka, który jak Budgie wywarł bezpośredni wpływ na muzykę hard’n’heavy. Tak, tak. Ten sympatyczny Amerykanin jest co prawda aktorem drugiego planu – ale przecież tu tak istotnym wyróżnieniem jest przyznawany Oscar. Gra zawsze pod lidera zespołu. I jest niezwykle ceniony przez Ronniego Jamesa Dio. Wystąpił u boku takich gwiazd jak Yngwie Malmsteen, Adrian Smith i Dave Murray z Iron Maiden w akcji charytatywnej Hear’n Aid zorganizowanej przez Dio w 1985 roku. W konsekwencji Ronnie zatrudnił go w 1987 roku przy płycie „Dream Evil” – heavy metalowa surowość Craiga wprowadziła zmianę w brzmieniu zespołu. W latach, kiedy stylistyka heavy łagodniała, on próbował w tradycyjnej formule ją wyostrzać. Gra na gitarach ESP, a są to instrumenty metalowych gitarzystów – używają ich m.in. Kirk Hammett i James Hetfield z Metallicy oraz Tom Araya ze Slayera. I tu jestem zdziwiony... Kilku fanów po koncercie w Olsztynie narzekoło na fakt, że Goldy grał riffy w Budgie. To Simon Lees, a już na pewno John Thomas powinien to zagrać – riffy tego ostatniego wprowadziły przecież Budgie do ofensywy New Wave of British Heavy Metal. Oczywiście, że każdy z tych gitarzystów dawał swego ducha w zespole, ale wiadomo, że Budgie to przede wszystkim Burke Shelley – a ten stawiał się w doskonałej formie fizycznej jak i artystycznej. Poza tym metalowe brzmienie zespołu powinno dziwić tylko tych, którzy przestali słuchać muzyki Budgie w latach siedemdziesiątych. Olsztyński dziennikarz radiowy i znawca bluesa, Mariusz Szczepański, skonstatował po koncercie, że takich gitarzy-



stów-rzemieślników są tysiące. Odniesienie miał do koncertu z dnia poprzedniego – Todda Wolfe, gitarzysty, którego nie można porównywać z Craigiem Goldy. To inna stylistyka, inny *feeling* – inne czucie muzyki. Czy gitarzysta rhythm'n' bluesowy zagra heavy metal? Fakt ewolucyjny, że heavy metal wywodzi się z hard rocka, a ten z bluesa nie czyni muzyków otwartymi na siebie jednocześnie kaskadą riffów i zjazdów po gryfie metodą *bottle neck*. Obaj równie doskonali – ale każdy w swojej szarzy. Choć skłonny jestem do dywagacji i dyskusji, tu jednak, w kontekście tej części Polski, jestem za zaprzestaniem tego typu rozważań – każdy występ znaczącego gitarzysty, który może być potraktowany jednocześnie jako szkółka gitarowa, jest darmowym gratem dla naszych muzyków. Olsztyński występ Budgie został przez grupę potraktowany niezwykle serio, a skład zespołu – trio, powodował, że gra gitary jest elementem niezwykle ważnym. Było to połączenie hard rockowej sekcji Williams-Shelley z heavy metalowym użyciem solowych, rytmicznych i riffowych partii gitarowych przez Craiga Goldy. A wszystko to przede wszystkim na bazie typowo hard rockowych klasyków zespołu. W stylistyce heavy metalowej zostały zaaranżowane od początku utwory z płyt „Power Suply”, czy „Nightflight”, więc tu nie było czego zmieniać – jedynie dodać ciężaru. Kompozycje z ostatniej płyty „We’re All Living in Cuckooland” w oryginale bardziej rockowe, zostały przez Goldy urozmaicone techniką, która nie lubi oszczędności brzmieniowej – było *solid*, mało *soft*. Widać, że Burke Shelley pozwolił gitarzyście na swobodne aranżowanie partii gitarowych, co Craigowi nie jest obce, bo przecież pisał nuty nie tylko dla Ronniego Jamesa Dio, ale także dla wokalisty Van Halen, Davida Lee Rotha – kompozycję „Lady Luck”. Swoboda, z jaką gra na gitarze, i opanowanie sceniczne (było kilka wpadek ze sprzętem, ale żaden z muzyków nie dał tego po sobie poznać – wręcz przeciwnie, wykorzystali to jako atut), pozwoliło na pokazanie go w partii solowej, kiedy uśmiechnięty stał na brzegu sceny i wpatrywał się z rock'n'rollowym błyskiem w oku w oczy pięknych Polek. I tu dygresja muzyczna. W grudniu ubiegłego roku oglądałem występ zespołu Whitesnake w Warszawie. Tam też na scenie był czas na popisy gitarowe – grał Dough Aldrich, który na przełomie ostatnich lat wymieniał Craiga Goldy w zespole Dio. Przedostatnio, w 2005 roku, kiedy Goldy doznał kontuzji ręki, tuż po zagranium z Dio ostatniego *show* właśnie w klubie Stodoła w Warszawie. I w tym samym klubie podczas słuchania gry Aldricha w Whitesnake zrozumiałem, dlaczego jednak to Goldy jest tym gitarzystą, który pasuje do Dio. Jest gitarzystą bez naleciałości innych stylistyk. Heavy metalowym. To dlatego Aldrich nie czuł się dobrze u Ronniego, wołał zespół Davida Coverdale, któremu pasował styl gitarzysty hard'n'heavy z możliwościami rhythm'n'bluesowymi. Dough Aldrich wybrał grupę Whitesnake, a Ronnie James Dio gitarzystę Craiga Goldie. Od 2006 roku jest stałym muzykiem jego zespołu. Choć obecnie w uśpieniu – Dio promuje koncertami wydaną niedawno płytę „Bible Black” zespołu Heaven & Hell, czyli tak naprawdę Black Sabbath. Dopóki nie skończy się hossa na ten projekt, dopóty Craig będzie koncertował sobie z Budgie. Szczerze, to gdyby coś się przytrafiło Tonny Iommiemu, Craig mógłby śmiało wejść w skład Heaven & Hell, bo z perkusistą Vinny Appice'm grał już wcześniej u Dio. I tak doszedłem do Vinny, pochodzącego z nie-

zwykle muzykalnej rodziny, który grał i w Black Sabbath, i z Johnem Lennonem.

Towarzystwo tej historii dla fanów to oddech, dla muzyków to nauka. Czy taka mogła być wyniesiona po koncercie z Olsztyna? Jako support dla Budgie wystąpił rodzimy zespół Kofeina. Muzycy grupy zdobywali doświadczenie w różnych składach, istotnych dla rozwoju regionalnej sceny muzycznej ostatnich dwóch dekad. Pytano mnie, dlaczego zespół wyrażający na scenie więcej depresji niż optymizmu jest idealnym rozgrzewaczem dla legendy? Był to jednak dobry wybór – aktywnie działających zespołów na tym poziomie, pasujących do Budgie, to w naszym regionie nie ma. Dwóch gitarzystów, Wojtek Olkowski i Maciej Romanowski, działa w rejonach, które na pewno z heavy nie mają nic wspólnego. Czy mogli jako doświadczeni już muzycy skorzystać z doświadczenia tego, który tworzy nadal karty historii muzyki – przynajmniej zapisuje tam aneksy? Co miałoby być tym doświadczeniem, tą nauką? Dla muzyka sam kontakt wystarczy i otwarcie na ten kontakt. Zanim Lemmy Kilmister został liderem Motorhead, nosił skrzynie z ekwipunkiem za Jimem Hendrixem. Wojtek & Maciek swoje już zrobili i swobodnie mogliby otrzymywać prezydenckie nagrody za zasługi na rzecz kultury regionu. Jednak muszą borykać się z codziennością muzyka na ziemi warmińsko-mazurskiej, tak niechętniej temu artyzmowi. I dlatego pozostaje im inny rodzaj zadowolenia – wewnętrznego (o ile są na to otwarci). Namacalną nagrodą w ich karierze jest obserwacja i bezpośredni kontakt z innym warsztatem – z wysokiej półki. Docenienie występu Budgie w Olsztynie jest tu podstawą recenzji. Docenienie nie tylko jako wartości empirycznej. Kłopoty związane z lokalizacją występu pod słynnym białym namiotem, rozbitym w „zabytkowej” części olsztyńskiej starówki, to znak, że długo jeszcze Olsztyn nie będzie gotowy na poważne traktowanie muzyki jako wartości dla pokoleń tu mieszkających. Dla rozwoju turystycznego czy wizerunku innego niż tylko miasta erotycznego skandalu. Tym bardziej to zatrwajające, że Olsztyn stał się już zaściankiem swych miast powiatowych. Tu już nie powinno się bić na alarm – tu już gore!!! □

Koncert Budgie odbył się 24 kwietnia 2009, na Targu Rybnym w Olsztynie. Supportem był olsztyński zespół Kofeina. Lista zagranich utworów przez Budgie:

- 1) Panzer Division Destroyed
- 2) Guts
- 3) Melt The Ice Awal
- 4) I Turned To Stone
- 5) Halling
- 6) Barents
- 7) In For The Kill
- 8) Course In Brain Burgery
- 9) Nude Disintegrating Parachutist Woman
- 10) Zoom Club
- 11) Napoleon Bona Part One & Part Two
- 12) Breadfan (bis)

©14.06.2009

**Kazimierz Brakoniecki.**

laureat WAWRZYNU 2008 – Literackiej Nagrody Warmii i Mazur



**W laudacji na temat „Historii bliskoznacznych”, Pańskiej książki, która otrzymała „Wawrzyn” – Literacką Nagrodę Warmii i Mazur, Marek Barański powiedział: „Wygadana proza postpańszczyźnianych chłopów, obecnie inteligentów, ma mazowiecko-kurpiowsko-kresowy zaśpiew. Właściciele tych głosów mieszkają współcześnie na pograniczu kurpiowsko-mazurskim, zaczynając od Łomży, a na Olsztynie kończąc. Na globusie Brakonieckiego centralne miejsce zajmuje jednak Olsztyn”. Czym zatem jest dla Pana Olsztyn?**

Jest to moje miasto rodzinne. Co prawda ja urodziłem się w Barczewie, jest to miejsce mojego urodzenia, ale moim miastem jest Olsztyn i tu całe życie mieszkałem. Tu się kształtowałem, tu mam swoje miejsca ważne i magiczne, i smutne, i tragiczne, i piękne. Tu założyłem rodzinę, tu urodziłem się synowie.

To miejsce również mitologizowałem. Moja literatura często jest autobiograficzna, szczególnie poezja. Przyjąłem sobie za zadanie tworzenie żywotów ludzi, poematów narracyjnych głównie o losach ludzi najbliższych mi, choć nie tylko. Tomiki z lat 80-tych i późniejsze ukazywały narastanie mojej wiedzy jednocześnie rodzinnej, narodowej, europejskiej, ale też metafizycznej i tej regionalnej. Bazowałem głównie na poezji angloamerykańskiej, która nie dzieli tematów na niskie i wysokie, na wielkomiejskie i małomiejskie, nie dzieli historii na dużą i małą, na prywatną i uniwersalną, ale tworzy jeden ciąg literacki i uważa,

że w jednym wierszu, czy w jednej powieści lub opowiadaniu, można zmieścić całe uniwersum człowieka, wychodząc od jednostkowego doświadczenia miejsca, wychodząc od doświadczenia biograficznego. Nie ma znaczenia, czy opowieść dzieje się w Nowym Jorku, czy w Olsztynie, czy w Pcimiu, znaczenie ma skala doświadczenia historycznego, egzystencjalnego. Ze względu na doświadczenia polityczne u mnie jest więcej historii niż geografii, więcej jest magii historycznej niż magii miejsca.

Jako jeden z pierwszych ośmieliłem się w sposób oryginalny, nie urągając wymogom literatury regionalnej, stworzyć z prowincji pewne uniwersum, całkiem oryginalne i własne. W tej chwili jest moda na biografię literacką. Chodzi się ulicami Joyce’a, Chwina... Można też chodzić ulicami Olsztyna. Moje pokolenie świadomie i nowocześnie mitologizowało Olsztyn, nie dlatego, że jest to najlepsze miejsce do życia, ale dlatego, że to miasto, z którym zderzyliśmy się, w którym tworzyliśmy pewną wizję naszej rzeczywistości, mówiliśmy w sposób śmiały i osobisty, o tym, skąd jesteśmy i dokąd idziemy.

**Czy obecny Olsztyn jest dobrym miejscem dla artystów, twórców w ogóle?**

Tak, ale wtedy, kiedy człowiek w sposób wolny decyduje się na osiedlenie w nim – nie jest zmuszony do tego. Nie zostaje tu, bo czuje się gorszy, słabszy lub boi się konkurencji i uważa, że na prowincji będzie mu łatwiej. W przeciwnym razie powolutku spadnie do poziomu banalnego, nieciekawego, takiej naszej przeciętności olsztyńskiej. Ja wróciłem do Olsztyna dlatego, że zostałem zmuszony przez wypadki życiowe, dla mnie była to jedna z najgorszych decyzji w moim życiu, potem (po przemianach politycznych) okazało się, że dobrze zrobiłem rezygnując z wyjazdu na emigrację. Olsztyn po zmianach demokratycznych stał się dla mnie miejscem, w którym mogłem w końcu rozwinąć skrzydła. Wcześniej był jedynie przekłętą dziurą.

W Olsztynie, jak w każdym innym mieście, są lepsze lub gorsze okresy, są lepsi i gorsi poeci, pisarze. O dzisiejszym Olsztynie po raz pierwszy możemy powiedzieć, nie przesadzając, że każdy zna swoje możliwości, już nie ma tej presji, że jakaś tematyka regionalna jest lepsza lub gorsza, albo że samo mieszkanie w Olsztynie już skazuje pisarzy od razu na „gorszość”. Ważny jest natomiast talent i charakter oraz dobre zorganizowanie i pracowitość, by nie zmarnować go szybko, lecz rozwijać w dobrym kierunku i świadomie prowadzić. Istotna jest też wolność wewnętrzna i odwaga, bo kto nie ma odwagi, ten nie jest nigdy dobrym artystą i twórcą. □



**Tomasz Białkowski,**

laureat WAWRZYNU 2008 – Literackiej Nagrody Warmii i Mazur (nagrody czytelników)

**Dla wielu pisarzy ich miejsce zamieszkania często stanowi inspirację, dla innych jest tematem przewodnim twórczości, czy też tzw. „przestrzenią bardzo osobistą”. Dla innych jeszcze konkretna płaszczyzna geograficzna (czyli w tym wypadku Olsztyn) jest zupełnie bez znaczenia. Czym jest dla Pana Olsztyn? Jakie miejsca, ludzie, historie są dla Pana ważne?**

Akcję dwóch ostatnich książek umieściłem na ulicach Olsztyna, tak więc miasto nad Łyną bez wątpienia stanowi dla mnie miejsce ważne. Inna sprawa, co ja o tym miejscu sądzę. Niestety, jeżeli o wielu ludziach tutaj żyjących mogę powiedzieć wiele ciepłych słów, tak o samym miejscu już niekoniecznie. Afery, słaby rozwój infrastruktury, metropolitalne ambicje miasta bez lotniska, dobrych dróg, szybkiej kolei... Różnice najlepiej widać odwiedzając inne podobne wielkością miasta. W Olsztynie mamy piękny, szybko rozwijający się Uniwersytet z kadra..., której próżno szukać na spotkaniach autorskich, w muzeach, galeriach. A zainteresowanie studentów kulturą to już prawdziwa tragedia. W literaturze uznaję zasadę „prawdziwego zmyślenia”. Zwykle „zlepiam” moich bohaterów z kilku osób, by stworzyć postać, jakiej akurat potrzebuję do opowiedzenia historii. Miasto w moim przypadku stanowi jedynie tło. Domy, ulice – to jest dla mnie o tyle ważne, o ile daje pozór wiarygodności opowieści. Dużo ważniejsi są ludzie żyjący za murami domów, ich małe radości, wielkie dramaty, tudzież odwrotnie. Moje pisanie krytycy stawiają na półce z napisem „czarny realizm”. Jak zwiał, tak zwiał. Interesuje mnie podszewka rzeczywistości, nieumiejętność porozumiewania się ludzi bliskich sobie, dramat jednostki nie potrafiącej odnaleźć się w rzeczywistości przełomu wieków.

**Czy mógłby Pan przybliżyć swój eksperyment formalny – czyli zastosowanie przerzutni (z natury poetyckiej) w prozie? Czy kompozycje poszczególnych powieści są dopełnieniem zamiarów fabularnych, czy też eksperymentem formalnym samym w sobie?**

Jeżeli przyjrzeć się moim wcześniejszym książkom, to w każdej z nich znajdziemy inne rozwiązanie formalne. W „Pogrzebach” jest to próba przypowieści, „Dłużyzny” są oparte na inwersji, czyli szyku przestawnym. Przerzutnia pojawia się w „Zmarzlinie” nie bez powodu. Bohater książki żyje w swoistej schizofrenii. Czas miniony miesza mu się z teraźniejszością. „A ja każdego dnia z jednego świata do drugiego przechodziłem, z jednego bytu w inny sam już nie wiedząc, który jest realny”. Od tego motta zaczerpniętego z „Cesarza” Kapuścińskiego zaczyna się książka. Przerzutnia idealnie nadaje się na zbudowanie opowieści, w której światy przenikają się, a przeszłość zdaje się być teraźniejszością. Słowo kończące jakąś myśl otwiera kolejną, nową, często przeciwną. To ma na celu drażnienie, irytację, łamanie przyzwyczajęń czytelnicznych, czasem zniechęcenie. Mój bohater cierpi, a cierpienie to nie jest przyjemny stan umysłu. Cierpi również fizycznie. Człowiek chory różnorako znosi swoją niemoc. Dobra książka powstaje tylko wtedy, kiedy czytelnik jest w stanie uwierzyć w wykreowany przez Autora świat. Można to uczynić nie tylko poprzez fabułę, ale i za pomocą języka. Kto powiedział, że zabieg przerzutni może występować jedynie w poezji? Staram się szukać, eksperymentować, zaskakiwać i burzyć utarte przyzwyczajenia czytelnicze. Z jakim skutkiem – nie mnie oceniać. □



*Rozmawiały: Anita Romulewicz, Anna Rau*





Arkadiusz Łuba

## V i a t o r

(fragment powieści)

Czy uciekałeś więc? Lekko otwierane drzwi. Ciężkie, opuszczone, wywołujące skrzypienie zawiasów. Nie uciekniesz od niej przez drzwi. Złapie cię, dopadnie, przyssa. Złota połyskująca klamka. Klamka do skarbcza myśli? Nie. Otwórz na oścież. Wokoło zieleń szatańskiego ogrodu. Ukazała się jego oczom. Naga myśl towarzyszyła mu nieustannie. Nie mógł uciec. Wpadł w jej sidła. Weszła z nim do ogrodu. Wszystkie odcienie zielonego. Zielony uspokaja i odpręża. Kojący wpływ na zmysł wzroku. Patrz, patrz! Patrz i myśl mnie, nie uciekaj. Purpurowozielony, zielono-niebieski, złotozielony, jasny i ciemny. Wielość kwiatów. Hiacynty, tulipany, orchidee, róże, lilie, fikusy, fiołki, chabry, irysy, maki, chryzantemy (...) i jeszcze wiele innych, których nazwy brzmią jak egzotyczne imiona rozgrzanych południowych kobiet.

Bogactwo drzew, jakiego nie widziałeś dotąd nawet w swoich snach. Topolipy, dębowiązy, klonosany, lipolilie, płaczkolipy, jodłopalmy, wiązokrzewy, modrzebuki, cyprysy, mirtolaury. Bajkowy krajobraz. Cichołaki, długorzeki, jeziostawy. Turkusy nurzały się w nieboceanie, wzburzały fale, silne prądy, wiry.

Myśli wirowały, rozmnożone. Czy taki raj był możliwy? Jak jeden szpitalny pokój mógł pomieścić to wszystko? Ale to tylko chwilowy nawrót świadomości. Ostatni przed spotkaniem z Najjaśniejszym z Ciemnych.

Uciekałem. Teraz też biegnę niestrudzenie przez cudowny ogród dziwów. Szept, cichy szept. Cichy szept myśli. Idzie za mną. Będzie podążał i za tobą. Mójtwój cień. ...sz... Stąpać lekko, niby w ogóle się nie poruszając. ...szsz... Aż serce chciało się wyrwać z pulsującej krtani. Dzikość. Co? Gepardy i tygrysy czekające tylko na to, aby móc zaatakować. Nie ruszą cię jednak. On by na to nie pozwolił. Przecież ma się

z tobą spotkać. Są uczciwe. Nie odważą się. (...)

Szedł dalej. Dróżki z woalek, majtkowy gaik, rzeka miesięczkujących dziewic (z orszaku samego diabła). A więc już niedługo. Przychodzi powoli, nadjeżdża.

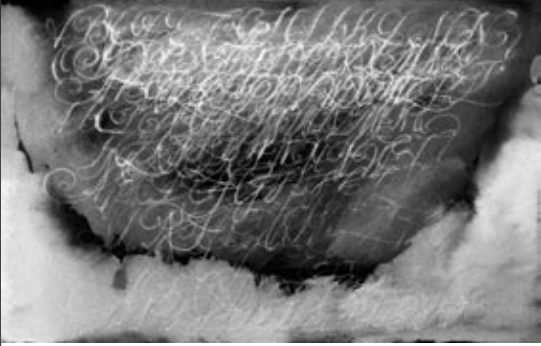
Na horyzoncie przejaśniło się na ułamek sekundy. Zagrzmiało. Rudolf, mimo że myśli kłębiły mu się w głowie, widział wyraźnie. To chmury po uderzeniu pioruna rozstąpiły się, rzucając bładoniebieski blask na ziemię. I z ziemią stało się to samo: w piorunowej poświacie rozstąpiła się na chwilę i już oczom ukazał się jaśniejący skrzydlaty orszak.

Joseph Schweinigel i Joan Whitelady w mgnieniu oka znaleźli się koło Rudolfa. Znów wzięli go pod ramiona i pognali w stronę hallu-salonu, zostawiając ogród za sobą.

W sali panowało olbrzymie poruszenie. Nie wiedzieć skąd, w przestrzeni rozbrzmiewała cudowna nieziemska muzyka. Tu skrzypce, tu wiolonczele, tu kontrabasy. Cała orkiestra smyczkowa. Rudolf rozglądał się na wszystkie strony, ale nie dojrzał ani jednego muzyka. Zrozumiał. Uroczysta melodia zwiastowała nadejście Szatana.

Na dywanie rozłożonym przed zielonoobitym fotelem zebrały się ubrane w złocistą zbroję postacie męskie. Towarzyszyły im postacie kobiece, o złocistych lokach, prawie nagie, przybrane w aksamitne przeswitujące halki: aż do samych stóp. Rudolf nie rozpoznał twarzy nikogo z nich. Oni nie mieli twarzy...

I nagle muzyka ucichła. Ciszca, choć trwająca zaledwie parę sekund, była nie do wytrzymania. Wcisnęła się w uszy, wręcz sprawiała ból. Wszyscy obecni pochylili się w tym momencie w stronę fotela. Rudolf także poczuł na swoich plecach silną dłoń Schweinigla, przymuszającą go do odda-



nia pokłonu. Światło mignęło gwałtownie, oślepiając pochylonych.

Na fotelu siedział mężczyzna. Uniósł dłoń na znak, że można powrócić do wyprostowanych pozycji. Salon na powrót zappełnił się muzyką.

Rudolf stał nieruchomo, trochę przestraszony, ale też mocno skoncentrowany. Wpatrywał się w Niego. A i On patrzył na Rudolfa. Milczeli.

Mężczyzna wyglądał na około trzydzieści lat. Twarz jaśniała Mu niczym greckiemu bogu. Był potężny i piękny. Zaiste wypełniony boskim blaskiem. Jaśniał niegdyś pośród archanielskich zastępów niebieskich. Teraz świecił tylko dla siebie.

Jego muskularne ciało pokrywała węzowulaska srebrzysta zbroja. W lewej dłoni trzymał białą gładką łaskę, zwieńczoną niewielką złotą kulą. Prężył potężny tors, na którym pod skóropodobną zbroją odznaczało się każde włókno Jego silnych mięśni.

Oczy miał zielone, patrzące szlachetnie, osadzone w klasycznie pięknej twarzy. Rude loki opadały mu ze skroni.

Siedział przechylony nieco na prawą stronę, podparty na łokciu. Rudolf zauważył, że za Jego plecami kryją się śnieżnobiałe imponujące skrzydła, przebijające przez królewski płaszcz.

Więc to był On – Szatan. Rudolf, nie wiedząc, dlaczego, ukłonił się jeszcze raz.

– Proszę podejść bliżej i przestać się bać. Już dawno miałem ochotę spotkać się z panem, Rudolfie. Pochodzi pan z bardzo sławnej rodziny, której członkowie zwykli mi zawsze towarzyszyć, grając walca na smyczkach. Słyszysz pan tę melodię? Niczym wartkie wody Dunaju... □

# Proces Sieniewicza

O tworzeniu i odbiorze literatury rozmawiamy z olsztyńskim pisarzem, Mariuszem Sieniewiczem

*Jest Pan pisarzem o znacznym dorobku, wielokrotnie nagradzanym i nominowanym do prestiżowych nagród, dostrzeżonym przez krytykę i popularnym wśród czytelników. Dla kogo tworzy Pan literaturę? W jednym z wywiadów powiedział Pan: „Pułapka literatury polega na spełnianiu potrzeb odbiorców. Ja czegoś takiego nie robię”. Jest to bliskie stwierdzeniu Borgesa – „Piszę dla siebie, dla przyjaciół i po to, by spowolnić bieg czasu”. Postawa taka, nieco artystowska, jakby zadaje kłam poglądowi, że literatura bez odbiorcy nie istnieje, że może stawać się „bytem samoistnym”. Nie uważa Pan, że to trochę tak jak rozmowa szewca ze świeżo przybitą żelówką?*

Oczywiście, że nie. Cóż to za twórca, którego dzieło jest warunkowane istnieniem odbiorcy. Nie ma odbiorcy, nie ma dzieła sztuki? W trakcie pisania nigdy nie myślę o czytelniku. O nim myślę, aż za bardzo, twórcy literatury popularnej. A nie myślę dlatego właśnie, że chcę być wobec niego *fair*, że nie chcę koniunkturalnie odkrywać jego potrzeb i pragnień. Piszę wyłącznie dla siebie, żeby ze sobą pozalatawać parę spraw. I nie jest to artystowskie podejście, lecz jedna z najbardziej szczerych, intymnych sytuacji, jaką może zainicjować pisarz. Tworzyć tak, jakby przez chwilę cały zewnętrzny świat przestał istnieć. Szanowny czytelnik powinien to docenić jako punkt wyjścia do szczerzej rozmowy poprzez książkę. Mój szacunek wobec czytelnika przejawia się właśnie poprzez jego nieobecność w trakcie pisania. Poza tym literatura to nie jest produkt, który za wszelką cenę musi znaleźć nabywcę, stąd zaczyna się wdzięczyc, by zwrócić na siebie uwagę.

*W estetyce postmodernizmu niejednokrotnie stykamy się z pojęciem intertekstualności – najczęściej odnośnie literatury i eklektyzmu w przypadku pozostałych sztuk. Z eklektyzmem w teatrze, pojmowanym jako wolność wyboru, kompozycji i interpretacji, mieliśmy m.in. do czynienia w przypadku adaptacji Pana zbioru opowiadań „Żydówek nie obsługujemy”. Zazwyczaj w takiej sytuacji mówi się o „teatralnej przyswajalności”, czy wręcz „pożeraniu literatury” przez teatr. A gdybyśmy odwrócili sytuację – co teatr może zrobić dla literatury, czym może się jej przysłużyć?*

Literatura rodzi się – jak to pięknie ujął Hrabal – ze „zbyt głośnej samotności”, więc jej istotą jest pojedynczość doświadczenia, indywidualny przekaz. Nie umiem powiedzieć, co teatr mógłby zrobić dla literatury. Zamiast sobie pomagać, wszystkie dziedziny sztuki powinny chyba bardziej się sobie przyglądać. Wspominałem już o te-

atralnym „uczłowieczaniu” tekstu literackiego. Mam na myśli ową świadomość komunikacji, która w teatrze jest o wiele większa. A mówiąc wprost: poprzez teatr ja jako osoba pisząca uczę się głębszego, bardziej autentycznego dialogizowania. Zazwyczaj bowiem bohater literacki jest widmowym, wyobrażeniowym bytem, zaś bohater teatralny rodzi się z aktora jako konkretnego człowieka z krwi i kości. W trakcie przygotowywania „Żydówek...” doświadczyłem tego, gdy nagle zamiast znanego mi od kilku lat Grzegorza Gromka, musiałem stanąć twarzą w twarz nie z Grzegorzem Gromkiem, lecz z Filipem Piszczajko. Co więcej ów: ucieleśniony Piszczajko zaczyna się ze mną kłócić, dyskutować, czy aby dobrze przemyślałem jego żywot... Mało komfortowa, choć pouczająca sytuacja... Po prostu Pinokio ożył i zaczął się stawiać.

*Literatura, na każdym etapie – począwszy od procesu tworzenia, a skończywszy na recepcji – rozgrywa się w wyobraźni, której asocjacyjny charakter czyni ją nieprzewidywalną i ze wszelkich miar indywidualną. Teatr natomiast operuje własnym wypracowanym językiem angażującym nie tylko „wewnętrzne oko” widza. Nieprzypadkowo przecież funkcjonują rozdzielnie w naszym języku pojęcia „czytania” i „patrzania” jako czynności przypisane czytelnikom i widzom – pomimo tego, że w zasadzie angażują ten sam zmysł. Jak więc Pana zadaniem odbierane jest dzieło literackie w teatrze?*

Myślę, że odbiór każdego dzieła sztuki, nieważne – literackiego, teatralnego czy muzycznego, podlega zasadzie synestezji, więc każdy utwór uruchamia, a przynajmniej powinien uruchamiać, wszystkie zmysły. „Czytanie”, „patrzanie” to punkty wyjścia, swoiste bramy do światów naszej percepcji, w których pojawia się „słyszanie”, „dotykanie”, „wąchanie”, nawet i „smakowanie”. Tak przecież działa przestrzeń wyobraźni. A co do związków: teatr jest wizualizacją literatury i interpretacyjnym ukonkretnieniem jednej z wielu ścieżek, jakimi podąża wyobraźnia. Stąd też literatura stanowi chyba punkt wyjścia dla teatralnych światów, ma im wiele do zaoferowania, zwłaszcza jedną fundamentalną rzecz: potęgę słowa jako nośnika wartości, metaforyzowanego rezerwuaru sensu. Dzisiejszy teatr zdaje się o tym zapominać. Jestem przerażony i zniesmaczony widocznym gołym okiem niechlujstwem współczesnej, często tej najmłodszej, dramaturgii. Myślę więc, że literatura musi być wobec teatru strażnikiem słowa i jego estetycznie energetycznej mocy. A patrząc z drugiej strony: teatr każe literaturze pamiętać, że na końcu każdego procesu jest człowiek, który odbiera dzieło, począwszy od przedstawiającego je aktora, po widza. Teatr uczy mnie szacunku i pokory wobec sztuki dialogizowania, stąd mogę powiedzieć, że teatr „uczłowicza” literaturę. □

*Mailował: Waldemar Tychek*

W V W I A P





# NOŻE



- Zamorduję drania! – powiedziała z pasją Anna wychylając się przez okno. W swoim życiu już kilka razy chciała zamordować parę osób: między innymi rywalkę do serca pewnego Sławka z Olsztynka, swoją nauczycielkę z liceum oraz dyrektora, kiedy wysłał ją w listopadzie na Ukrainę. Ale tym razem mówiła „naprawdę”. Naprawdę „naprawdę”.

Drań od dwóch godzin siedział niemal pod jej oknem i pełnym głosem ryczał: „To już jest koniec, nie mamy nic. Jesteśmy wolni, możemy już iść”.

- A idź, cholero! – zasyczała Anna.

Cholerny grajek uliczny. Znała jego repertuar na pamięć: „W życiu piękne są tylko chwile”, „Czerwony jak cegła” i wreszcie znienawidzone „Whisky, moja żono” – kwintesencja menelstwa, jak za każdym razem w duchu powtarzała Anna. Ponieważ od urodzenia stanowiła uosobienie spełnionych aspiracji do maksymalnego luksusu i elegancji, brzydziły ją w tym wszystkim zarówno repertuar, jak i wykonanie. Sama wręcz instytucja grajka ulicznego była sprzeczna z całą głębią jej istoty.

Niežnośne, znane na pamięć dźwięki. Chłopak z gitarą wyje codziennie, przez wiele godzin, do późnego wieczora. I ma wielu naśladowców – czasami śpiewają jednocześnie. Któryś z nich musi zginąć. Wszystko jedno który. Może być ten. I wreszcie zamilknie.

- Tak...! – Anna z widoczną radością zaczęła w kuchni ostrzyć nóż do chleba.

Sytuację uratowała jej mama przychodząc z pracy.

Grajek ryczał do 21.00. Repertuar znany i lubiany, ze szczególnym uwzględnieniem „Whisky, moja żono”.

Ksiądz z zawodu, proboszcz ze stanowiska, przechodził właśnie obok młodego chłopaka z opartą o kolana gitarą. Dzieciak dobitnie wykrzykiwał frazy popularnego przeboju, a leżące przed nim niemal puste pudło gitary przypominało paszczę głodnego krokodyla. Ks. Mateusz wyrwany z rozważania nad kolejną inwestycją na terenie parafii spojrzał na to wszystko i zastanowił się, co sam robił będąc w wieku chłopaka. Chyba się uczył. Dniami i nocami uczył. Później znowu się uczył. I jakoś tak fiku-miku nagle został proboszczem... I ma pięćdziesiątkę. „Gdzie są moje młode lata?!

– panika potrząsnęta kosmkami myślowymi najważniejszego kapłana największej parafii w Olsztynie i nagle zachciało mu się płakać. – Ja chyba też kiedyś miałem dwadzieścia lat?... I tak jak ten młody marnowałem czas na nauce, grze w piłkę i teologii, zamiast cieszyć się każdym poręciem ciała, że nie mam stanu przedzawałowego, a wschodniej ściany świątyni grzyb mi nie zżera!!!”. Z coraz większą fascynacją wpatrywał się w szeroko otwarte usta ulicznego grajka. „Głupi młody! Oj, potrząsnąłbym tobą, krzykaczu!”. I dopiero w tym momencie dotarło do księdza, CO słyszy... – „To już jest koniec, nie ma już nic...”. „Przedemną nie ma nic, przed tobą nie ma nic, przed grzybem na ścianie jest tynk. Koniec... koniec... nie, ja chyba mam depresję!”. Odszedł szybkim krokiem, a odprowadziło go zranione spojrzenie grajka – ksiądz nic nie rzucił!

Pani Irena, emerytka (po mężu), wdowa (po mężu), obudziła się jak zwykle nad ranem, kiedy jeszcze było ciemno, jak niewiasty u grobu Pańskiego, doprawdy. Pierwsze, co zrobiła, to nakarmiła kota – od dawna już przestał udawać, że jest u niej bezinteresownie, a już na pewno nie ze względów emocjonalnych. Można tu nadmienić, iż kot Fryderyk zagnieździł się w jej mieszkaniu dzięki swojej znajomości psychologii człowieka. Pewnego zwyczajnego mroźno-chlapowatego lutego przez trzy dni koczował na wycieraczkę pani Ireny, za każdym razem pokornie dając się znosić na dwór – na to błoto i zimno, a okazywał przy tym tylko wdzięczność za krótkotrwałe przytulenie. Po trzecim dniu wynoszenia kota na warunki niezdatne do życia emerytka ostatecznie poczuła się jak szmata i kat zwierząt, i oczywiście już musiała go zatrzymać! Fryderyk błyskawicznie zmniejszył nieco dawki wdzięczności na rzecz stanowczego charakteru, ale i tak było warto... Tak więc owego ranka starsza pani ukonstytuowała się co nieco i postanowiła wyjść na krótki spacer z Fredusiem u nogi (na gustownych czerwonych szeleczkach), choć ostatnio niestety ze spacerami miała coraz większy kłopot. Otóż jej ukochana trasa spacerowa wiodła przez Stare Miasto (trochę ze względu na upodobanie Fredka do Teatru Telewizji w wykonaniu olsztyńskiej trupy gołębi, a trochę przez znajomych koczujących od rana na ławkach w pełnym słońcu. Emerycy uwielbiali to darmowe solarium ze względu na słabe serca oczywiście i możliwość zbiorowego odwiedzania lekarza *post factum*). Tak czy owak pani Irena z kotem zazwyczaj zawieszali się na Starówce na dobre dwie godziny. Odkąd jednak zagnieździł się tam ten okropny chłopak z gitarą, kot zdecydowanie



zaczął się biesić od hałasu. No i marniał w oczach z braku powietrza po prostu! A starsza pani z braku świeżych wiadomości. Coś trzeba z tym młodzieńcem zrobić – skoro straż miejska nie reaguje, obywatela muszę wziąć sprawy w swoje ręce. I jeszcze żeby choć nie śpiewał tych różnych sprośności...

Gołąb Tymoteusz wyjął głowę spod skrzydła o 5.30, jednocześnie z pierwszymi promieniami letniego słońca. Było fajnie. Odlotowo, no! Jak wszystkie drogiowate nie miał może za wielkiego groszka mózgowego, ale wiedział jedno: dziś znów będą muchy, ziarna, a może nawet koło fontanny wycieczka dziecięca z mnóstwem pokruszonego chleba w rękach. Jedno z kolei go niepokoiło: wbrew wszystkim ludzkim teoriom, ptaki może są głupie, ale nie GŁUCHE, i słyszą okropne dźwięki. Na przykład śpiew przy gitarze: głośny i szkodliwy. Szkodliwy w trawieniu. Człowiek z gitarą, niedaleko fontanny. Głośny, szkodzi trawieniu. Musi odejść!!!

Minęła doba.

Ósma trzydzieści rano. Pusto na ulicy jak na amerykańskim filmie sensacyjnym. Grajek rozkłada się do pracy pod sklepem kosmetycznym. Zaczyna z wyraźną przyjemnością od mocnego akordu! – wyjątkowo lubi „Whisky, moja żono”...

Wtedy Tymoteusz lotem koszącym nagle atakuje grajka!!! Grucha „Spppadaj!” i dziobie z wyjątkowym okrucieństwem. I odfruuwa. Wreszcie będzie dobrze trawić.

Anna budzi się o 9.10. Mimo otwartego okna w mieszkaniu panuje wyjątkowa cisza. Cisza po raz pierwszy od trzech tygodni. Anna przeciąga się rozkosznie i nic jej nie niepokoi, nawet fakt, iż w prawej ręce ma jakby lekko... lepki?... nóż do krojenia owoców. Lepki nóż i ciemnoczerwony – od krwi czy soku, doprawdy...

Ksiądz Mateusz budzi się świeżutki i w dobrym humorze. Pierwsze jego spojrzenie na świat rzucone przez szeroko otwarte okno spoczęło na wschodniej ścianie kościoła. Od zewnątrz wcale nie była

zagrybiona... Oj, dobrze się dziś czuł – ostatnio tak było chyba na urlopie. Albo nawet na imieninach arcybiskupa! Tylko coś go, świętopietrze!, gniecie w nadgarstek...

Pani Irena zasnęła. Obudziła się po dziewiątej i pierwsze, co odczuła tuż po otwarciu oczu, było głębokie zdumienie: dlaczego Fryderyk nie obudził jej zwyczajowym skakaniem po żołądku? Nawet teraz siedział na wprost jej łóżka, wysoko na szafie, i tylko obserwował z chłodnym zainteresowaniem. Żadnych oznak skrajnego wyniszczenia kilkugodzinnym głodem! Dziwne. „Kici kici” – powiedziała machinalnie, ale bydlak tylko posnifał w jej kierunku i niby wyraz odrazy odmalował się na jego pyszczku, jakby poczuł jakiś odrażający, obcy zapach. „Czekaj, zaraz sam przyjdiesz do miski!” – pomyślała mściwie i zaczęła się powoli gramolić z pościeli – oj, sztywne te jej stawy... Coś z brzękiem spadło na podłogę. Na białym dywaniku koło łóżka pojawiły się jaskrawoczerwone plamki...

25 lipca wieczorem starszy aspirant Kurdybanek pozostawił w olsztyńskim areszcie śledczym trzy osoby – zdawałoby się (co napisał w raporcie) kompletnie z sobą niezwiązane, a podejrzane o zamordowanie (kilkadziesiąt drobnych ran kłutych) młodocianego Piotra S., trudniącego się występami ulicznymi. Jedyne, co łączy podejrzanych, to fakt, iż (co zeznały) obudziły się rano z zakrwawionymi nożami przy twarzy. Na ostrzach krew grupy O Rh- (grupa krwi zamordowanego). Oczywiście żaden z podejrzanych „nic nie widział, nic nie słyszał i oczywiście nie posiada odcisków, a przynajmniej nie, panie władzo, takich, jakie są na rękojeści noża!”. Najmniej podobne odciski (jak twierdzi) ma ksiądz proboszcz Mateusz...

25 lipca wieczorem gołąb Tymoteusz zasnął snem sprawiedliwego o 21.05 – równo z ostatnim promieniem słońca. Świetnie dziś trawił.

□

\*\*\* Wszystkie wymienione w opowiadaniu osoby istnieją i są zdolne do popełnienia morderstwa.

# Zakład malarstwa i rysunku na Wydziale Sztuki UWM

Malarstwo i rysunek to podstawa całego kształcenia wizualnego, niezależnie od tego, kto jaką dziedziną sztuk plastycznych będzie zajmował się w przyszłości. Dlatego DUŻYM SUKCESEM było założenie zakładu właśnie malarstwa i rysunku na Wydziale Sztuki UWM.

Aby działać dobrze na tak wymagającym obszarze, potrzeba czasu.

W początkowych latach uczyliśmy się funkcjonowania w strukturach uniwersytetu. Budowaliśmy fundamenty. Teraz mamy własny budynek, dobrze wyposażone pracownie. Są podstawy, aby świat zasad kompozycji, problematyka światła i cienia, perspektywy, kreski, plamy i waleru zaistniały w Olsztynie.

Nauczanie rysunku czy malarstwa rozkłada się na lata i jest zakończone egzaminem. Student poznaje techniki malarskie, zasady kompozycji, formy, światłocienia, perspektywy, gam i mieszanek koloru w towarzystwie prowadzącego. Problemy te są realizowane w oparciu o studium martwej natury, studium modelu, wnętrze, pejzaż – i podlegają stałej korekcie pracowników naszego zakładu. Po tych kilkunastu latach pracy wiem, że studenci wybierając pracownię – jedną spośród innych, przygotowując się do samodzielnej twórczej pracy i rozwijając swoją artystyczną osobowość, inspirując się sylwetką prowadzącego. To, co powstaje, jest własnością wspólną, nie ma komercyjnych odniesień.

Niniejsza prezentacja prac wykładowców Zakładu Malarstwa Wydziału Sztuk UWM to tylko skromny wycinek z ich twórczości. Tyle, ilu jej autorów, tyle jest jednak różnych sposobów na wyrażenie własnej wypowiedzi malarskiej. Przedstawione realizacje są fragmentem ich twórczości, niejednokrotnie bardzo bogatej i wielowymiarowej (np. nawiązującej do tkaniny u prof. Stanisława Andrzejewskiego czy collage'u u prof. Zygmunta Drońskiego, w większości skupionej na malarstwie i rysunku u dr Renaty Zimnickiej-Prabuckiej, dr Wioletty Jaskólskiej czy asyst. Joanny Bentkowskiej-Hlebowicz

oraz w pracach autora tekstu). Grupę zamykają wkraczające w świat fotografii prace dr Marzeny Huculak oraz prof. „Geno” Małkowskiego, dla którego najważniejsze jest samo działanie – wspólne malowanie, czy tworzenie prac na czas.

W tych realizacjach autorzy stawiają pytanie: czy malarstwo i rysunek, mimo iż tradycyjne w swojej formie, są jednocześnie zaczątkiem wszystkiego, co nowe, zaczątkiem wszelkich działań awangardowych? Czy może tylko miejscem ucieczki dla nieokielzanej osobowości artysty?

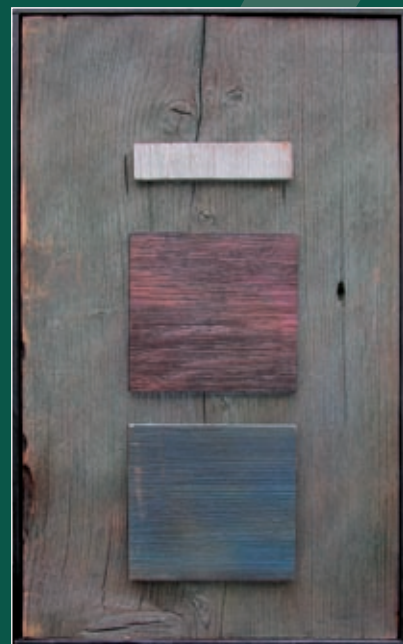
Student wchodzący do pracowni nie zawsze zdaje sobie sprawę, że wkraczając w świat sztuki staje się nową osobowością, mającą potencjalnie wpływ na współczesną kulturę. Malarstwo i rysunek uczą go swobody, wyzwalają jego umiejętność samodzielnej kreacji.

Prezentacja ta jest okazją przybliżenia twórczości artystów związanych z UWM szerszej publiczności.

## Uczestnicy wystawy:

prof. Stanisław Andrzejewski,  
prof. Zygmunt Droński,  
prof. Eugeniusz „Geno” Małkowski,  
dr hab. Marek Szczęśny,  
dr Marzena Huculak,  
dr Wioletta Jaskólska,  
dr Renata Zimnicka-Prabucka,  
asyst. Joanna Bentkowska-Hlebowicz

*dr hab. Marek Szczęśny*



prof. Zygmunt Droński



prof. Eugeniusz „Geno” Małkowski



prof. Stanisław Andrzejewski







dr Renata Zimnicka-Prabucka



asyst. Joanna Bentkowska-Hlebowicz



dr hab. Marek Szczepny



dr Wioletta Jaskólska



dr Małżena Huculak





# Mieć i nie mieć

Jak jest lepiej: mieć czy nie mieć? Stuknęło mi 55 lat, więc podliczyłem wszystko, co mi jeszcze, niestety, pozostało i czego, na szczęście, już nie mam.

Mam uszy, niejednokrotnie nacierane, zatykane, aby nie słyszały, czego nie potrzeba, i nie raz myte, aby usłyszały właśnie to, co zakazane.

Oczy bez zeza, ale niezbyt dobrze widzące, które, niestety, dotychczas nie odnalazły jedynej, najkrótszej drogi do szczęścia.

Głos, za który nawet w dniu wyborów ani jeden z kandydatów nie posła czy prezydenta nie zaproponowałby złamanego grosza.

Niezgrabny, nienadający się na modela, zbyt duży nos, często obrywający z powodu wtykania go w cudze sprawy.

Duże serce, przepełnione miłością do bliźniego swego, czyli przede wszystkim do siebie samego.

Jeden taki drobiazg łączący kobietę z mężczyzną, którego znaczenie, wdzięk i rozmiary z biegiem czasu ulegają zmianom, niestety.

Z trzydziestu dwóch zębów, które należą się człowiekowi zgodnie z ustaloną przez Boga konstytucją ciała ludzkiego, mam tylko parę z czasów Chruszczowa, Breżniewa, z Epoki Trzech Pogrzebów i kilka wstawionych już po odzyskaniu niepodległości.

Wszystkie dziesięć palców, które dostały mi się zgodnie z tą samą konstytucją Boga, a które zgarniały, co się tylko dało, ale z powodu wtykania ich między drzwi lub tam, gdzie nie potrzeba, zeszywniały, dlatego też upuszczają wszystko, co im się udaje pochwyć.

Trzeszczący kark, na który starają się wsiąść różne pasożyty, zwykle z powodzeniem, a ja to dostrzegam już po czasie.

Wrażliwą potylicę, na której w okamgnieniu wyczuwam cudze spojrzenia.

Pojemne płuca, które dawno należałoby wyrzepać jak dywan czy filtr odkurzacza.

Platynowy żołądek, któremu przypadł los doświadczalnego królika.

Jęzior średniej długości, który nadaje się raczej do wyrwania niż do mielenia.

Kilka litrów krwi, której większa część jest czarna, dlatego aż się prosi, aby jej nieco upuścić.

Spękane usta, które nie chcą i których nikt więcej nie chce całować.

Jeden taki otwór, którego nazwę w dobrym towarzystwie na głos wymawiają jedynie snobi. □



# Borussiańscy Ambasadorzy Kultury

*Spośród licznych spotkań autorskich, jakie odbyły się w maju w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Olsztynie, dwa wyróżniły się szczególnie – Olsztyn odwiedziła bowiem zagraniczni goście: Juozas Šikšnelis z Litwy i Artur Becker z Niemiec. Jednak nie w miejscu zamieszkania pisarzy upatrywać można niezwykłości spotkań, bowiem okazało się, że łączy ich z naszym miastem i regionem znacznie więcej niż mogłoby się wydawać.*



Juozas Šikšnelis jest autorem licznych powieści historycznych, detektywistycznych i kryminalnych, poczytnym zarówno w ojczystym kraju jak i za granicą. Współpracował z pismem „Borussia” i publikował w nim swoją twórczość. Jednak tym razem litewski pisarz nie przywiózł do Olsztyna żadnej ze swych książek – prezentował natomiast, choć w sposób niezwykły, naszych rodzimych pisarzy i poetów. W centrum spotkania, które odbyło się 9 maja, stała bowiem antologia przygotowana przez Juozasa Šikšnelisa pt. „Vėtyklė”, prezentująca twórczość Kazimierza Brakonieckiego, Tamary Bóldak-Janowskiej, Alicji Bykowskiej-Salczyńskiej, Włodzimierza Kowalewskiego, Ewy Szyling i Joanny Wilengowskiej.

Skąd zrodził się pomysł na taki zbiór? Juozas Šikšnelis żywo interesuje się polską kulturą, uczestniczy w polskim życiu na Litwie i sam również zabiega o to, by jego rodacy poznali twórczość polskich autorów. Antologia „Vėtyklė” wyrosła z fascynacji twórczością Kazimierza Brakonieckiego i skonstruowana jest wokół osi jego poezji, w której tak wyraźną rolę ogrywa Borussia, ziemia dawnych Prusów, mała ojczyzna wielu twórców zarówno polskich, niemieckich, jak również litewskich. W ten sposób powstał zbiór prezentujący pisarzy o podobnym profilu twórczym, w których utworach widoczne jest utożsamienie się z borussiańską prowincją, a ziemia rodzinna jest obecna jako *leitmotiv* i ważny element świata przedstawionego.



Artur Becker, drugi z majowych gości, to pisarz polskiego pochodzenia, piszący, jak to podkreśla, z wyboru i konsekwentnie w języku niemieckim. Urodził się w Bartoszycach, ale od 1985 r. żyje i tworzy w Niemczech. Niemniej w swoich powieściach i opowiadaniach ciągle wraca do kraju, w którym się urodził. Bohater jego prozy to warmiński emigrant, żyjący w dwóch światach: rzeczywistym i wspomnianym, rozdarty między polską a niemiecką tożsamością.

Głównym tematem spotkania, które odbyło się 25 maja, była powieść Beckera pt. „Kino Muza”, pierwsza książka autora przetłumaczona na język polski. Publikacja otwiera nową serię wydawniczą Wspólnoty Kulturowej „Borussia” pt. RE-MIGRACJE, której celem jest zaprezentowanie polskim czytelnikom pisarzy, którzy wybrali drogę literackiej emigracji i tworzą w języku niemieckim. „Kino Muza” jest przy tym wyborem niezwykłym i bardzo znamionym – pozwala bowiem prozie Beckera zabrzmieć w jego języku ojczystym, w którym autor już nie tworzy.

W ten sposób literatura Warmii i Mazur zatoczyła szerokie kręgi... i wróciła do swoich źródeł. Dzięki antologii „Vėtyklė” nasi rodzimi, olsztyńscy pisarze trafiają do litewskich odbiorców, a twórczość Beckera przedstawia niemieckim czytelnikom nie tylko archetypową sylwetkę polskiego emigranta, ale przede wszystkim atmosferę małych, warmińsko-mazurskich miasteczek, którą nierzadko pamiętają jeszcze z lat dzieciństwa i młodości. Natomiast za sprawą tłumaczy, wspólnych projektów, a często kontaktów osobistych i przyjaźni twórczość dzieci Borussi wraca na własne podwórko.

Dzięki tym spotkaniom i książkom biblioteka na Starym Mieście zmieniła się na chwilę w wieżę Babel, różniąc się jednak od biblijnej tym, że odmienne języki nie przeszkodziły porozumieniu, a nawet więcej – pokazały, że tak naprawdę niewiele nas dzieli, a łączy wspólna wizja świata i tożsamość idei. Mediatorami i krzewicielami tego porozumienia narodów nie są politycy, lecz pisarze, tłumacze, ludzie kultury. Dzięki nim nie zapominamy, że polsko-niemiecko-litewski kraj zwany „Borussia” istniał i ma szansę istnieć nadal, a w Unii Europejskiej z jej ideą wielokulturowości i wielojęzyczności, nawet istnieć powinien. □

Sylvia Białecka



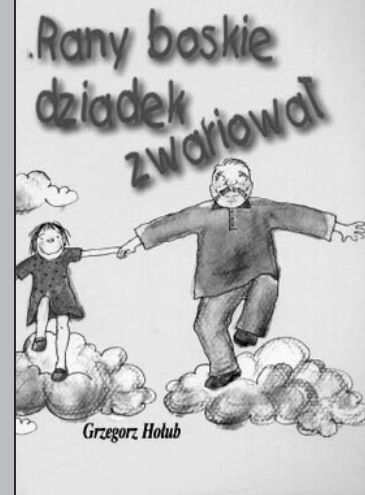
## Anita Romulewicz Mazurskie Bullerbyn

Każde pokolenie ma swoje arcydzieła literackie, zarówno te „dorośle”, jak i tworzone z myślą o małym czytelniku. Śmiało zaliczyć można do nich „Dzieci z Bullerbyn” Astrid Lindgren, książkę o istocie dzieciństwa, o miejscu tak spokojnym i bezpiecznym, jak tylko może je postrzegać dziecko. Przyznać trzeba, że filozofia optymizmu szwedzkiej pisarki dzisiaj również znajduje odbiorcę, choć z perspektywy półwiecza wydaje się już niewystarczająca. Poprawny, dyskretny dydaktyzm, ukryty pod atrakcyjną powłoką miłej atmosfery, sprawił, że „Dzieci z Bullerbyn” przetrwały próbę czasu i dla wielu nadal są książką magiczną. Ale współcześnie od dobrej literatury oczekuje się czegoś więcej. Czy zatem poszukujemy ucznia, który przerósłby mistrza?

Grzegorz Hołub, autor książki „Rany boskie, dziadek zwariował”, stworzył opowieść niezwykłą, a właściwie opowieści. Nominowana w 2006 r. do Nagrody Literackiej im. Kornela Makuszyńskiego historia siedmioletniej Mai i jej „udanego pod każdym względem” dziadka Teofila doczekała się w kolejnych latach kontynuacji. Ta warsztatowo bardzo dobra literatura jest przede wszystkim dowodem na to, że można dla dzieci pisać o dramatach świata dorosłych w sposób uczciwy i szczerzy, jednocześnie nie burząc bezpiecznej przestrzeni podwórka.

Największym walorem tej książki jest naturalność i prostota. Naiwne, surowe rysunki Anny Styrańczak podkreślają klimat opowiadań. Ograniczone do nieco koślawej kreski, ale pełne wyrazu, dopełniają intencje autora, który niczego nie ukrywa i nie koloryzuje. Rozważnie natomiast kreuje świat widziany oczami małej, rezolutnej dziewczynki.

„Rany boskie...”, choć osadzona w realiach mazurskiej wsi, nie należy jednak do grona „eksportowych” opowieści dla turystów, odmalowanych jako egzotyczna kraina wakacyjnych przygód. Wyjątkowość tej książki tkwi w uczciwym obrazie, gdzie miejscem zabaw i poszukiwania skarbu może stać się choćby tajemnicza Błąbera – ruiny domu, którego mieszkańcy – uciekinierzy – zostali rozstrzelani przez „Ruskich”. Wieś Reszki to także miejsce autentyczne (nie tylko geograficznie). Jest tu biedny Jakub od Morka – chłopiec pracujący przy krowach, „zbyt zaharowany, żeby urosnąć”. Jest jego ojciec z butelką piwa, chora ciocia Janka i pan Mamot, „co chyba na głowę upadł, żeby mieć ośmioro dzieci”. Są także dzieciaki, które, jak te z Bullerbyn, przy ogromnej wyobraźni wciąż mają za mało rozsądku, by unikać zabaw w starych zwirowniach i ślizgawek na kruchym lodzie.



Hołub podobnie jak Lindgren z niezwykłą delikatnością buduje świat oparty na wyraźnych zasadach szacunku i ufności do najbliższych. Z kolei – jak Brzechwa czy Tuwim, którzy wyraźnie odcinali się od „nieomyślności” dorosłych – pozwala im na słabości i grzeszki, co przydaje książce z jednej strony wiarygodności, z drugiej zaś sporej dawki humoru. Jest w niej też mnóstwo ciepła od zapachu „prawdziwych” bułeczek mamy, szczekania rozumnego Szkaradka i wzruszających historii dziadka kawalerzysty, na którego w niebie czeka wierna bułanka.

Nie można nie wspomnieć o Dylewskiej Górze. To wręcz magiczne miejsce. Jak twierdzi dziadek Teofil, choć „Mount Everestem to ona nie jest (...), ale mnie odpowiada taka, jaka jest”. A i Reszki to mała wieś „specjalnie zbudowana na wzgórzu, żeby można ją było oglądać z każdziutkiego miejsca na ziemi”. Autor świadomie odstawia ukryty pod ciekawą warstwą sentymentu szacunek do rodzinnych stron i wynikający z niego brak kompleksów typowego prowincjusza. Reszki bowiem to mały świat, w którym jest wszystko, czego potrzeba człowiekowi do szczęścia.

Historie stworzone przez Grzegorza Hołuba są jak dwoje ludzi zapatrzonych w chmury, mądre jak doświadczony życiem staruszek i szczerze jak siedmioletnie dziecko. Zapiszą się w pamięci niejednego małego czytelnika, a i dorosłym je polecam jako doskonałe źródło tematów do zajęć biblioterapeutycznych. □

Hołub, Grzegorz: Rany boskie, dziadek zwariował / Grzegorz Hołub; [oprac. graf. i rys. Anna Styrańczak-Wiatrak]. – Olsztyn: Wydawnictwo Wektor, 2005. – 172 s.: il., rys.; 21 cm. – (Szalona Majka ; [1]). – ISBN 83-906830-8-3

## Anna Piotrowicz Gustaw Gizewiusz – folklorysta Warmii

Nazwa „Warmia” wywodzi się ze staropruskiego przymiotnika „wurman” i oznacza „czerwoną ziemię”. Warmia i Mazury leżą w północno-wschodniej części Polski: tereny te były obszarem, gdzie dochodziło do częstych zmian politycznych, a co za tym idzie – narodowościowych i kulturowych. Zmiany władzy, germanizacja, wojny, przesiedlenia mieszkańców – wszystko to powodowało, że kultura muzyczna Warmii była kulturą bardzo zróżnicowaną, bogatą w elementy innych narodowości. Na charakter muzyki Warmii miał także wpływ sposób jej przejmowania. Przekazywano ją ustnie, ponieważ wykonywali ją ludzie nie umiejący czytać i pisać. W wyniku tego melodie i słowa piosenek, pieśni i przyspiewek ulegały na przestrzeni lat zmianom.

Nieocenione zasługi w utrwaleniu i uporządkowaniu kultury muzycznej Warmii miał wybitny polski etnograf Gustaw Herman Marcin Gizewiusz. Urodził się 21 maja 1810 w Piszcu, zmarł 7 maja 1848 w Ostródzie. Pochodził ze starej polskiej rodziny Giżyckich. To właśnie na jego cześć przemianowano w 1946 miasto Łuczany na Giżycko. W czasach narastającej germanizacji był obrońcą i propagatorem języka i kultury polskiej. Utrzymywał kontakty ze środowiskami patriotycznymi w innych częściach ziem polskich, a także w Czechach i na Łużycach. Gizewiusz jest przykładem działacza

regionalnego, który z powodu nielicznych przedstawicieli polskiej inteligencji na terenach Warmii i Mazur wziął na swoje barki różnorodne zadania: zajmował się działalnością społeczno-polityczną, literacką, wydawniczą, twórczą oraz zbieractwem folkloru. Gizewiusz był więc pierwszym świadomym kolekcjonerem kultury muzycznej regionu i autorem ważnego dla Warmii zbioru pt. „Pieśni ludu znad górnej Drwęcy w parafiach Ostródzkiej i Kraplewskiej zbierane w 1836 do 1840-go roku przez X. G.G.”. Zbioru utworów dokonał w sposób bardzo profesjonalny: notował nazwiska lub przynajmniej imiona informatorów, miejsce dokonania zapisu, datę, a nawet dzień tygodnia, porę dnia lub godzinę spotkania.

Zbiór pieśni Gustawa Gizewiusza posiada nieocenioną wartość kulturową, dzięki jego pracy mamy możliwość odtworzenia muzyki ludowej Warmii z XIX wieku. W 2001 roku Pani dr Zenona Rondomańska wraz ze studentami Instytutu Muzyki Wydziału Pedagogiki i Wychowania Artystycznego Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego dokonała nagrania 13 wybranych pieśni chóralnych – Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie posiada w swoich zbiorach owo nagranie. Posiada także zbiór „Pieśni ludu znad górnej Drwęcy...” – dzięki temu każdy miłośnik muzyki Warmii, i nie tylko, ma możliwość wysłuchania brzmienia pieśni oraz obejrzenia zapisu nutowego tych utworów. □

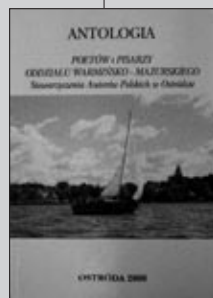


rysunek i kaligrafia: Zbigniew Urbalewicz



Anna Rau

Czy Mazury  
to dziewczyna,  
ze nosi perły?



Wyjrzyj przez okno, opisz, co widzisz.

Widzę perłę, wielką i czystą. Mleczną. Piękną. Światła pełną.

Niewielu wydawców potrafiłoby w tomiku poezji zamieścić tak drobny i kunsztowny chwyt marketingowy, jaki uważne oko zauważy na tzw. stronie redakcyjnej almanachu „Otwarte okno: antologia poetów i pisarzy Oddziału Warmińsko-Mazurskiego Stowarzyszenia Autorów Polskich w Ostródzie”.

W górnej części tej właśnie strony, często pomijanej przez leniwego czytelnika, umieszczono informację: „Na okładce wykorzystano zdjęcie (...). Widok przedstawia **Ostródę, Perłę Mazur**”. Piękne. Perłka o Perle. Okładka jest po wielokroć wyjątkowo znaczącym elementem publikacji – jej atrakcyjnie umalowaną twarzą, zachęcającym uśmiechem czy grymasem, który ma przyciągnąć oko i rękę odbiorcy. Tego, kto nie pofatygowalby się rzucić okiem na tytuł antologii, a jedynie skupił na jej malowanej „fasadzie”, mogłoby zmylić zdjęcie żagłówki na tle dość dalekiej panoramy miasta: „Kolejny przewodnik? Coś o żeglarstwie?”. Świadomy czytelnik z kolei być może zacząłby konfabulować własną interpretację okładkową: „Ostróda w poezji? Poezja w Ostródzie? Przewodnik poetycki? Piękne i pozytywne – marketing ze sztuką w jednym?”. Czy można rozwickłać dwuznaczność ostródzkiego tomiku? Czy rzeczywiście Stowarzyszenie dzięki almanachowi uwieczniło swoje „wyjątkowe” – jak je określa w Przedmowie – miasto, czy może... Ostróda stała się pretekstem do zaprezentowania własnej twórczości?...

Antologia przedstawia piętnastu stowarzyszonych ostródzkich poetów w jednorodny sposób: zdjęcie, krótka charakterystyka oraz wybór utworów. Stanowią oni zgromadzenie zróżnicowane pod względem wieku, miejsca urodzenia (i autochtoni, i przybysze – nawet z drugiego końca Polski, choćby ze Stępina w województwie podkarpackim – aczkolwiek w jednaki sposób, czyli uczuciem i zamieszkaniami, związani z Ostródą), a demokratyczne pod względem płci (niemal 1:1 kobiety-mężczyźni). Łączy ich pisarstwo oraz, jak znów podaje Przedmowa antologii, „sentymentalne zauroczenie urokliwą przyrodą południowo-zachodniego skrawka Mazur”. I rzeczywiście owa fascynacja naturą to chyba pierwszoplanowy motyw większości poematów „Otwartego okna”. Dzięki takiemu też pryzmatowi poetyckiego postrzegania rzeczywistości almanach skłania się w stronę stylistyki franciszkańskiej. Prezentowane utwory to impresje uspokojonych ekspresji, rejestry harmonii, spokoju, ciszy i równowagi, wypisy ze współistnienia światła i ciemności, radości i cierpienia, życia i śmierci, bezgrzesznej przyrody i człowieka z całym jego dwuznacznym bagażem świadomości i wolnej woli. Jakie są więc te słynne malownicze Mazury ozdobione naszyjnikiem z kunsztowną Ostródą-perłą? Ile przestrzeni, wizji rzeczywistości można zobaczyć przez „Otwarte okno”? Widać *srebrzyste wzgórza, kawkalkady żeglarzy, mgły poranne, falbanki jezior i czuć złotą kroplę wiatru*. Spotyka się *drzewa piszące testamenty, ptaki przelotne spoczywające w kurorcie...* – człowieka otoczonego przez zaklęty krąg „jeziora-lasy-grzyby-ryby-wędk”. I to nie jest stereotyp – może trochę prowincjonalność?... Ale taka „z klimatem”, z budzącymi sentyment kamienistymi drózkami na pobrzeżach i zbożem. Jest tam i *szaro-bury kot, który wcisnął zmokły kark w zaulek marzeń*, i *Bim bam bom dzwonu z ostródzkiej najwyższej wieży* oraz *chleba ojczyzna piekarnia*. Jednocześnie antologiczna Ostróda to bardzo konkretna przestrzeń geograficzna z rzeką Drwęcą, zamkiem, „Nowym Starym Miastem” i fontanną;

## Tadeusz Klabuhn

### Prowincjonalność

Tkwią w swoich przydomowych ojczyznach  
Opatuleni słoneczną aurą nadziei  
Poetyccy bracia mniejsi  
Wpatrzeni w święty ogień weny  
Wyznawcy jej nieokiełznanej mocy  
osobni wewnętrznej skrywanej niemożnością  
Usłyszenia krzyku światła w czerni

## Rafał Strychalski

### Dzieje

Chodniki mych marzeń puste są jak były;  
Grzmot słyhać pod ziemią, gdzie nie sięgam wzrokiem;  
Hefajstos tam królem, gdzie żelaza bryły  
Na białość przekuwa cyklop z jednym okiem.

Niedługo już wulkan pod nieba kopuły  
Wyrzuci ogromny energii ładunek.  
Jam wulkan, Hefajstos i cyklop nieczuły;  
Płomienie mych bogactw – rozpalony trunek!

Głęboka twa studnia, wzrok nie sięga dalej,  
Gdzie rzeki, strumyki w jedno z nią się łączą;  
Lecz siła spokoju wzburzy mętne fale,  
Aż wszystko się stanie fontanną świecą.

Dwa ptaki, jak niegdyś, na niebo wyfruną,  
Z wysoka żywioty obserwować będą;  
Gdy ptaki już wolne miasta ziemskie runą,  
A miłość przestanie być tylko legendą.



miasto, które *wilgotnym szalem rzeki przeciera szmaragdowe oczy*, a z drugiej strony – jest *urwiskiem hałasu*, betonowymi osiedlami, *arką zwierząt odrzuconych*.

Ostróda to również mazurska przeszłość, wszak – jak określa jeden z poetów – jest *odwieczną ojczyzną chleba i kwiatów*. W niej *kur*, jak dawno, dawno temu, *budzi zmarszczone oczy*, człowiek tęskni do *lanych klusek po polsku / szczyptą soli do smaku*, a w każdy kolejny weekend spotyka na zakurzonej ścieżce rekreacyjnej Malchiora Wańkowicza. Ostróda to marzenia: *bieganie boso / wśród chmur*, podczas gdy *kropla nocy budzi zły sen*. Zwyczajna-niezwyčajna codzienność XXI wieku: w dziecka gaworzeniu, w gonitwie za dobrą nocą i ukochanym, w urodzinach córki, w obserwacji wierzących, którzy udają, że w Boga wierzą, a nawet w medialnej akcji „Różowa Wstążka”. Może brzmi to wszystko trochę jak opis kiczowatego obrazka z jeleniem na rykowisku, ale czymże jest kicz i czymże jest sztuka, jeśli nie tylko odbiorem?

Kolejną cechą, która łączy Poetycką Piętnastkę almanachu, jest chęć utrwalenia „wyjątkowości swoimi utworami – poetyckimi podróży, słowem i metaforą”. I tu czytelnik chwytą w dłoń klucz rozumienia, w jaki sposób powiązać nawet, zdawałoby się, dalekie kontekstem od ostródzkiej realności utwory! Słowa, słowa, słowa, słowa i metafora! Nawet metafizyka więc to Ostróda. Filozofia to Ostróda. Słowiańska przeszłość to Ostróda. (Jedna ujemna kwestia: Czy Swarozyc nie rzuci kamiennej kłoty na jednego z twórców, który uczynił zeń Swarozycą?). I własne życie to Ostróda... – kilku twórców bowiem przedstawiło czytelnikom skrawki swej przeszłości. Zapisali poezją osobiste wspomnienia, westchnienia, miłości, tęsknoty – czy tak łatwiej utrwalić? Czy tak pewniej zachować? Nie – więc może po prostu najbardziej wyjątkowo? Gra serce na bębenkach, bo zwiedza Arkadię poetyckiej prowincji, Arkadię Mazurską, Arkadię Słowiańską, Arkadię Opuszczonego Zwierzęcia... Podziękować trzeba tym, którzy Wyjątkowość Miejsca, Czasu, Doznania tak zapisać potrafią: Ewie Bawolskiej, Ireneuszowi Betlewiczowi, Wojciechowi Borkowskiemu, Krystynie Ceglińskiej-Gliniewicz, Dominice Chyc, Franciszkowi Godkowi, Tadeuszowi Klabuhnowi, Monice Martyniak, Tadeuszowi Peterowi, Ali Pisarskiej, Marioli Platte, Irenie Sitarz, Rafałowi Strychalskiemu, Józefowi Włodzimierzowi Szymkowskiemu i Barbarze Zamaro-Falińskiej. Tym, którzy we wszystkim dostrzegli Perłę Mazur, w Perle ujrzeli odbicie wszystkiego.

Lektura „Otwartego okna” wyjaśniła początkową wątpliwość: almanach w udatny sposób połączył profanum z sacrum nawiązując do bardzo aktualnej obecnie kwestii promowania własnego regionu – tym razem w poetyckiej oprawie. Miasto zyskało niezwykle medialną formę marketingową, jaką jest tomik poezji, poezja zyskała dzięki ostródzким twórcom jeszcze jedną przestrzeń eksploracji: Perłę Mazur. Jaka jest ta przestrzeń? Jaki jest ów klejnot? Mleczny. Piękny. Światła pełny.

Szczególne podziękowanie Jednemu z Poetów za *Cierpiący wziął serce – baranek i róża...* □

*Otwarte okno : antologia poetów i pisarzy Oddziału Warmińsko-Mazurskiego Stowarzyszenia Autorów Polskich w Ostródzie / [przedm. Tadeusz Klabuhn]. – Ostróda : Stowarzyszenie Autorów Polskich, 2008. – 154, [1] s. : portr. ; 21 cm. – ISBN 978-83-88982-85-9*

## Mariola Platte

### Zapłata...

Ludzie płacą za to  
Co otrzymali  
Najczęściej pieniądźmi

Ten grosz niczemu nie winien  
Rzucany po świetle  
Za fantazję  
Za żart  
Na życie  
Na śmierć  
Na miłość  
I zamiast miłości  
Ot...  
Na ludzkie potrzeby

To nie on więc sprawia  
Że gdy grosz otrzymuję  
Za kawałek siebie  
Raz czuję się jak  
Wyszczerbiona miseczka  
Z kruchej porcelany  
W publicznym szalecie  
A kiedy indziej  
Jak fontanna  
Z różowego marmuru  
Pełna szeptanych marzeń  
By do niej powrócić

## Dominika Chyc

Mrok za mrokiem wraz z tobą  
Odchodzą kominiarze  
Opuszczają mnie przypadkowe amulety  
I pęka z żalu szklana menażeria

Zgubiwszy wszystkie podkowki  
Stoję pod twoim oknem zimnym i ciemnym  
Jak serce chorego na marmur anioła

Przebiegając boso znajome bezdroża  
Pukam do drzwi szaf i zaglądam do kieliszków  
Pijana potrącam zegar z kurantem  
I kradnę mu ostatnią godzinę

Nie mogąc odnaleźć złej drogi  
Zawieszam sznur janczarów na stylisku kosy  
Na próżno.

## Anita Romulewicz Wskrzeszanie Warmii

Jakiś czas temu w olsztyńskiej filharmonii gościł znany w całym kraju dyrygent. Tuż przed rozpoczęciem koncertu, pragnąc stworzyć miłą atmosferę, wyznał zebranej publiczności, iż cieszy się z możliwości koncertowania w Olsztynie, bowiem zawsze podobały mu się Mazury. Wówczas to usłyszał szum niezadowolenia biegnący z widowni i komentarze zdęgstowanych olsztyniaków – mieszkańców Warmii. Nie udało się zatem oczarować melomanów „regionalnym” komplementem, musiała wystarczyć muzyka.

Taką oto anegdotę opowiedział mi Edward Cyfus, znany gawędziarz, Warmiak „od pokoleń”, człowiek, dla którego warmińskość to „kawał” historii trudniej i bolesnej, ale jednocześnie bogactwo pięknej kultury, która, jak pokazuje współczesność, inspiruje młode pokolenia. I choć sam przyznaje, że mowa czy muzyka warmińska odchodzą wraz z ostatnimi Warmiakami, to jednak zachowane ślady pozwalają na ukazanie kolejnym generacjom odrębności Warmii od jakże innych Mazur.

Fakt, iż Olsztyn nie leży na Mazurach, nie jest dzisiaj, wbrew pozorom, dla wszystkich oczywisty, a administracyjny zlepek warmińsko-mazurski nie sprzyja dostrzeganiu kulturowej wyjątkowości tych regionów. Tym bardziej cieszy, że o Warmii mówi się coraz częściej w kontekście jej odrębności, nie ograniczając się jedynie do podkreślania symboliki przydrożnych kapliczek. Po latach propagowania gwary warmińskiej w lokalnych mediach oraz publikowaniu przepelnionych warmińskim duchem gawęd przyszedł czas na współpracę Edwarda Cyfusa z młodymi artystami, zafascynowanymi kolorytem regionu.

Zakrojone na szeroką skalę zadanie popularyzowania kultury warmińskiej podjęła m.in. grupa muzyków, zrzeszonych wokół projektu „Wskrzeszanie Hobouda”. Ten ambitny plan promocji folkloru Warmii, przybliżania regionalnej kultury w wielu aspektach – muzycznym, językowym oraz historycznym – powstał z inicjatywy Marcina Rumińskiego, który wraz z Marią Rumińską, Marcinem Drabikiem oraz Romkiem Ślefarskim, stanowi jednocześnie trzon celtyckiej kapeli Shannon. To bogate w formach przedsięwzięcie zdradza pasję artystyczne członków zespołu, a także ich wyjątkowe



rys. Marcin Rumiński

zaangażowanie i determinację w realizowaniu muzycznych marzeń. Właśnie powołanie warmińskiego zespołu muzycznego o intrygującej nazwie „Hoboud” jest częścią zadania, jakie postawili sobie artyści z Olsztyna – i nie tylko.

„Wskrzeszenie Hobouda” jako zwycięski projekt w konkursie Urzędu Miasta Olsztyna na debiut artystyczny obejmuje ponadto stworzenie wizerunku scenicznego nowo powołanego zespołu. Powstają m.in. projekty strojów (autorstwa Magdy Gach) czy też elementy scenografii towarzyszącej koncertom (baby z hoboudami). Marcin Rumiński jest również autorem cyklu oryginalnych, graficznych wizualizacji demona, który, obok logotypu opartego na motywie rozety ze starego kościoła na Warmii, pełni rolę znaku rozpoznawczego „Hobouda”. Ów żywioduch doskonale oddaje założenia muzyczne projektu. Jako postać legendarna, oparta na obrazie ludowym funkcjonującym m.in. w folklorze Warmii, nie jest jednak wyłącznie kłobukiem – zmokłą kurą sypiącą iskry spod ogona. Jest za to nowoczesną wizją przedstawiciela sędziwej „rasy” hoboudów, jedną z wielu człekokształtnych postaci. To swoisty symbol działających „Hobouda”, zespołu czerpiącego z folkloru Warmii, jednak wnoszącego współczesność w „multiwymiarze”. Do realizacji projektu zaproszono bowiem i innych wykonawców (Agnieszka Symolon, Sławek Przytuła, Michał Jaros), otwierając się tym samym na bogate inspiracje muzyczne.

W ramach projektu przede wszystkim powstaje materiał na płytę, której nagranie realizowane jest w studiu olsztyńskiej rozgłośni Polskiego Radia. Jak deklarują muzycy – oficjalną premierę krążka zaplanowano na jesień 2009 roku. Do tego czasu powstanie również teledysk promocyjny zespołu oraz portal internetowy (w kilku wersjach językowych) o sztuce warmińskiej, jej duchu i krajobrazie regionu. Marcin Rumiński wierzy, iż wyjątkowy warmiński klimat, zawarty w baśniowym, lesistym i zamglonym świecie bogatej muzyki i pięknych tekstów ludowych, ma szanse konkurować z innymi obszarami kulturowymi, wykorzystywanymi jako fabularne lub muzyczne tło np. gier komputerowych.

A co można będzie znaleźć na płycie „Wskrzeszenie Hobouda”? Z całą pewnością dużo dobrej muzyki. Jednak nie czystej muzyki źródeł, jak niektórzy mogliby oczekiwać, ale jej nowoczesnej wizji, folkloru we współczesnych aranżacjach, przy wyraźnym wpływie chociażby jazzu. To, z jednej strony, utwory inspirowane kulturą warmińską, kopalnią niebanalnych, świetnie brzmiących melodii, prezentujących koloryt ludowy Warmii. Z drugiej zaś to piosenki opracowane przez pryzmat bogatych, ale i odmiennych doświadczeń muzycznych, wpisane w brzmienie intrygujących instrumentów, jak np. nyckelharpa, której obecność, zdaniem muzyków, nie jest przypadkowa. Ciekawy, zaskakujący efekt potęguje teatralne, ilustracyjne, „nie-bezpośrednie” potraktowanie tekstów. Całość stanowić będzie materiał interesujący, choć wymagający.

Inspiracją do pracy nad „Wskrzeszaniem hobouda” był stary folklor warmiński. O ile najwięcej trudności w warstwie muzycznej sprawiły poszukiwania źródeł, o tyle teksty ludowe wymusiły na muzykach naukę wymowy w gwarze warmińskiej, a przede

wszystkim „naprawę” przygotowanych tekstów. Obydwa zadania powierzono Edwardowi Cyfusowi. Oryginalne melodie pochodziły ze zbioru „Pieśni ludu znad górnej Drwęcy w parafiach Ostródzkiej i Kraplewskiej zbierane w 1836 do 1840-go roku przez X. G.G.” autorstwa Gustawa Gizewiusza, etnografa, badacza kultury muzycznej regionu. Teksty zaś to oryginalne podania ludowe, obciążone jednak poważnymi błędami wynikającymi z zapisu fonetycznego gwary, która nigdy nie była utrwalana w piśmie. Stylizowane na „warmińskość” musiały zostać odkryte na nowo, by oddać w pełni „cudność” naturalnych, romantycznych pieśni, w których – jak mówi Edward Cyfus – „zawarta jest dusza prostego człowieka stąd, kochającego ziemię pełną łąnów niebieskiego lnu”. Efektem pracy są spójne i dopracowane teksty piosenek, jak ta poniżej:

### A boczysz że Jašku

A boczysz że Jašku coś mi łobziycuwoł

Jek yś ze mnó w stodole na sionku nocowoł

Łobziycuwoł yś mi droge klejdy sproziac

Nie kozoł yś mi sia z jinkszami zaboziac.

Puda ci puda do pona starosty

Jek mi nie zapłacisz to dostoniesz chłosty

Całuj ty całuj pona starosta w rzyć

Bo łón gupsi by buł za take fraszki bzić.

Rozliczuł ji tysiónc po cesowam stole

Łobglóndnij sia dziywcza jek łuz mosz za swoje

Nie dosiść ci nie dość, eszcze trocha przyrzuc

Za zionek sto talarów, a za cnota tysiónc.

Zgarnóła talarki w swój modry szorcuszek

Co wejrzała zapłakała na swój zielgi brzuszek

Łoj brzuszku mój brzuszku czamuś tak wysocki

Łuz ci mi stować nie chce mój szorczyk szyrocki.

Folklor Warmii stał się inspiracją, ale i pretekstem, do stworzenia komiksów, opartych w warstwie fabularnej na regionalnych legendach, będących jednocześnie atrakcyjnym przekazem graficznym. Ów projekt duetu Marcin Wakar (koncepcja, scenariusz) i Jarosław Gach (rysunek) zrealizowany został przez „Wolną Grupę Twórczą”, które to Stowarzyszenie patronuje również działaniom Hobouda. Opracowanie językowe dwóch tytułów: „Jek chłop tabóndzia za biziołka wziót!”, „Jak chłop tabędzia za żonę wziąt!” oraz „Ło królu i szurku w czepku łurodzónam!”, „O królu i chłopcu w czepku urodzonym” powierzono Edwardowi Cyfusowi, który dokonał przetworzenia przygotowanych tekstów na gwara warmińską. O popularności obu publikacji świadczyć może ich obecny status bibliofilskich rarytasów.



Ciekawie przedstawiają się również planowane projekty: kabaret muzyczno-słowny oraz wydanie elementarza. Pierwszy z nich jest pomysłem kilku uzdolnionych muzycznie aktorów Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie. Założeniem przedsięwzięcia jest przekaz oparty na gwarze warmińskiej. Natomiast przygotowanie i publikacja podręcznika, opatrzonego słownikiem, służącego zarówno dzieciom jak i nauczycielom czy studentom, wydaje się, z perspektywy wy-mogów współczesnej edukacji, zamiarem dość trudnym.

O żywotności gwary warmińskiej, o sile folkloru, w którym tkwiące piękno samo się broni, świadczy też jego swobodne przenikanie do świata współczesnych mediów. Fora internetowe, na których prowadzona jest korespondencja w gwarze warmińskiej, wskrzeszają mowę Warmiaków, choć narażają ją jednocześnie na deformację i zalew neologizmów, a których przecież nie unika też i „rychtycz-na” polszczyzna. Swoboda, z jaką stosowana jest gwara Warmii do wyrażania aktualnych wydarzeń, niesie to samo ryzyko. Jednak intryguje i budzi podziw zaangażowanie, z jakim np. pisze i publikuje swoje teksty Łukasz Ruch z Bukwałdu.

Obserwując przejawy warmińskości w dzisiejszej kulturze nie można oprzeć się uczuciu swoistej „schizofrenii”. Z jednej strony cieszy piękno źródeł, nieodkrytych jeszcze historii, niewtłoczonych w komercyjną maszynę do sprzedawania. Towarzyszące temu poczucie końca magicznych opowieści, wyjątkowej mowy czy oryginalnej muzyki zmusza niejednego do podejmowania syzyfowego trudu wskrzeszania Warmii. Jednak – jak twierdzi Edward Cyfus – naiwnością byłoby wierzyć, że gwara „powróci pod strzechy” jako język żywy. Zachować ją można, podobnie jak i inne przejawy kultury warmińskiej, czerpiąc z nich, dając szansę przenikania, czy to pojedynczych słów, zwrotów, zdań, czy też wyuczonych „dla popisu” opowieści. Tylko w ten sposób warmińskość może stać się częścią historii nowych Warmiaków. □



rys. Marcin Rumiński



„Hoboud” ([www.myspace.com/hoboud](http://www.myspace.com/hoboud)), po udanym debiucie w Teatrze im. Stefana Jaracza w Olsztynie, został jednym z laureatów XII Festiwalu Folkowego Polskiego Radia Nowa Tradycja 2009 w Warszawie. W najbliższym czasie można posłuchać propozycji zespołu podczas koncertów:

- 4 lipca Baldy, II Warmiński Kiermas Tradycji Dialogu i Zabawy
- 11 lipca Olsztynek, Skansen „Nocne Śpiewanie”
- 25 lipca Dobre Miasto, „Ręką Dzieło”
- 26 lica 2009 Gietrzwałd, „Hoboud w Gietrzwałdzie”

4 lipca w Baldach w gminie Purda odbędzie się po raz drugi Warmiński Kiermas Tradycji Dialogu i Zabawy ([www.wrotawarmii.pl](http://www.wrotawarmii.pl)). Impreza nawiązująca do tradycji odpustowych na Warmii ma na celu promocję regionalnego folkloru (rzemiosło, kultura, sztuka ludowa). Kiermas adresowany do mieszkańców regionu i turystów organizowany jest u Wrót Warmii, w historycznym miejscu symbolicznego powitania nowomianowanych biskupów. W programie m.in.:

- inscenizacja wjazdu na Warmię biskupa Andrzeja Batorego
- jarmark sztuki ludowej, rękodzieła i tradycyjnego jadła
- pokazy walk rycerskich
- występy sztandarowych artystów regionu
- „kącik dla ducha” – promocje książkowe.

## JAK TO ZE SKRZYPECZKAMI BYWAŁO...

Kiedy w roku 711 Maurowie wkraczali do Hiszpanii, by rozprawić się z chrześcijańskimi Wizygotami, byli tak pewni zwycięstwa, że zabrali ze sobą *rebeces* – instrumenty w kształcie zbliżonym do dzisiejszych mandolin z wydłużoną szyjką. *Rebeces* wywodziły się z nieco wcześniejszych rebabów i posiadały jak pierwotnie jedynie trzy struny, ale doskonale mogły służyć grajkom, sprawnie posługującym się smyczkami, do akompaniowania pieśniom na cześć zwycięskich wodzów. I *rebeces* od tego czasu w Hiszpanii się przyjęły, a potem upowszechniły w całej Europie. Zmieniły tylko później nazwę na mandole.

W tejże Europie natomiast, niezależnie od *rebec*, istniał instrument smyczkowy zwany *chrotta*, w Niemczech zaś *geige*, a we Francji – *gigue*. Posługiwano się także innym instrumentem, posiadającym aż siedem strun i trzymanym na ramieniu, a zwanym *lira da braccio*.

Pochodzenie skrzypiec najprawdopodobniej należy jednak wywodzić od violi, która istniała już w XVI wieku. Źródła niemieckie podają jednak, że w Niemczech były bardzo rozpowszechnione inne viole, bez progów na chwytyni i zwane *Polnische Geigen*.

I to by się zgadzało, ponieważ pierwsze wzmianki na temat skrzypiec pojawiły się już w XV wieku na terenie Polski. Czyżby więc nie Włochy, a Polska miała być ojczyzną skrzypiec?

Bo przecież popularne w Polsce złóbcoki wyraźnie swoim kształtem nawiązywały do wschodnich odmian *rebec* – również posiadały trzy struny (dopiero później, pod wpływem skrzypiec, dodano czwartą, ale w praktyce bardzo rzadko ją używano, wykorzystując głównie dwie struny najwyższe). Także gęślom przypisywano znaczny udział w ewolucyjnym procesie powstawania skrzypiec.

W związku z tym nie można powiedzieć, że skrzypce były „czystym” wynalazkiem, a Gaspar Duiffoprugcar (lutnik francuski z XVI wieku), czy Gasparo Da Salo (lutnik włoski), jego pierwszymi konstruktorami. Całe chordofonowe instrumentarium ludowe, nie tylko zresztą z Polski, miało wpływ na ewolucję tego instrumentu.

Wybitni lutnicy strzegli jak oka w głowie tajemnic konstrukcji decydujących o walorach dźwiękowych skrzypiec. Nawet najbardziej znany z nich – Antonio Stradivari, nie przekazał swojego sekretu synom, którzy co prawda kontynuowali dzieło swego ojca, ale nigdy nie udało im się już zbliżyć do ojcowskiego ideału.

Polska także miała wybitnych lutników, jak choćby ród Grobliczów z jego protoplastą Marcinem czy Dankwartowie z Baltazarem. Co ciekawe Grobliczowie oraz Dankwartowie tworzyli w okresie XVI-XVII wieku tzw. szkołę polską. Gdyby podjąć próbę scharakteryzowania instrumentów pochodzących z polskiej szkoły, można by stwierdzić, że mają one wiele cech wspólnych z egzemplarzami szkoły bresciańskiej, której głównym przedstawicielem był wcześniej przywołany Gasparo Da Salo. Szkoła ta z kolei wywarła wpływ na kształt warsztatu lutników z Cremony z Nicolą Amatem na czele. Nicola Amati natomiast według wielu źródeł był nauczycielem samego Antonia Stradivari.

Ponieważ szkoła bresciańska uformowała się później od polskiej, można zatem zaryzykować hipotezę, że instrumenty naszych mistrzów stały się dla niej wzorem.

Nic więc dziwnego, że Nicolo Paganini po „pojedynku skrzypcowym” z Charlesem Lafontem, który odbył się w mediolańskiej La Scali w 1816 roku, dwa lata później, za namową samego Rossiniego, wyzwiał naszego wirtuoza – Karola Lipińskiego, na podobny bój muzyczny.

Artyści spotkali się w 1818 roku w Piacenzie, jednak ten wspólny koncert miał stanowić tylko preludium do właściwego „pojedynku”, który odbył się w 1829 roku w Warszawie. Z tych „zapaśów” Lipiński wyszedł obronną ręką, bo sława o nim rozeszła się po całej Europie. Trudno natomiast mówić o zwycięzcy w sensie sportowej rywalizacji.

Poza tym konkurowanie z Paganinim, zwłaszcza na polu techniki muzycznej, było cokolwiek ryzykowne. Mistrz bowiem, najprawdopodobniej chory na zespół Marfana, którego jednym z objawów była arachnodaktylia („pajęczne” palce), umożliwiającą mu stosowanie chwytu trzech oktaw, był poza zasięgiem. Docenił jednak naszego wirtuoza zapisując mu w testamencie (oraz siedmiu innym najwybitniejszym według niego skrzypkom owych czasów) jeden z najcenniejszych instrumentów swojej kolekcji. □



## Krzysztof D. Szatravski Na pograniczu epok



Z punktu widzenia urozmaiconego, bogatego w interesujące wydarzenia sezonu, koncert, który odbył się 15 maja w Olsztyńskiej Filharmonii, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Nie oznacza to, aby nie był interesujący, jednak na tle sezonu, kiedy każda tego typu impreza aspiruje do rangi sensacji, nawet wyjątkowe wydarzenia stają się codziennością, a naturalna skłonność do narzekania każe szukać przysłowiowej dziury w całym.

Afisz sugerował, że będzie to kolejny wieczór w typowym dla koncertów abonamentowych układzie uwertura-koncert-symfonia. Jednak

miczne utwory koncertowe. Już w Uwerturze dały się zauważyć charakterystyczne cechy interpretacji Georga Maisa – dążenie do artykulacyjnej dyscypliny oraz silnie zróżnicowane, kontrastowe tempa. W takim ujęciu utwór Beethovena zyskał na wyrazistości i sile wyrazu.

Dyrygent, który skutecznie skupił na sobie uwagę w Uwerturze, równie sprawnie usunął się w cień w Koncercie na dwa klarnety Es-dur Františka Kramářa, pozostawiając miejsce dwu solistom, którzy w zgodzie ze stylistyką dzieła mogli zabłysnąć wirtuozerią i zgraniem przywodzącym na myśl instrumentalny konkurs. Pogodny Koncert Kramářa dzięki

niewymuszonej, naturalnej melodyce oraz kontrastującej części środkowej wyraźnie nawiązuje do rozwiązań stylistycznych znanych z koncertów Mozarta, zwłaszcza do późniejszych koncertów fortepianowych. W odróżnieniu jednak od koncertów Mozartowskich soliści u Františka Kramářa od początku do końca mają zdecydowaną przewagę nad orkiestrą, której rola ograniczona jest do prostego akompaniamentu. W takiej sytuacji to owi soliści musieli udźwignąć ciężar konsekwentnej i zrównoważonej interpretacji. I, co warto wyraźnie podkreślić, wywiązali się z tego zadania znakomicie.

Druga część wieczoru należała w całości do orkiestry i IV Symfonii Mendelssohna. Jest to utwór często wykonywany, co zawsze grozi rutynowym podejściem i w rezultacie nieinteresującym wykonaniem. W opisywanym koncercie jednak całkowicie odmienne

podejście zespołu do tego dzieła stanowi prawdopodobnie zasługę dyrygenta. Romantycznie nieufadzona, poprowadzona z fantazją i taneczną lekkością interpretacja doskonale odpowiadała duchowi utworu, wyzwalając tym większą ekspresję, że zespołowi wyrażnie taka wizja utworu Mendelssohna odpowiadała. Szybkie, choć w żadnym momencie nie zapędzone, tempa i wyraźna, czasami wręcz przesadna dbałość o artykulację to cechy wyraźnie odróżniające to wykonanie od wcześniejszych. O dokonanym w ostatnich miesiącach rozwoju świadczy jakość brzmienia i skala dynamiki, jaką dysponuje orkiestra. Kiedy rozbrzmiewały oklaski, dało się odczuć radość płynącą ze świadomości, że mamy w Olsztynie zdyscyplinowany, dobrze brzmiący zespół, orkiestrę, która doskonale sprawdza się w repertuarze klasycznym i romantycznym. □

już we wstępnych zapowiedziach program ten mógł zainteresować specyficzną ideą. Otwierająca wieczór Beethovenowska Uwertura „Prometeusz” o tematyce wyraźnie nawiązującej do oświeceniowych idei, niezbyt często wykonywany Koncert na dwa klarnety Františka Kramářa oraz przebojowa Symfonia A-dur „Włoska” Felixa Mendelssohna-Bartholdy’ego – program konfrontował panujące w okresie romantycznego przełomu tendencje. Rolę przyciągającego publiczność magnesu spełnili również artyści, dyrygent z Niemiec – Georg Mais oraz dwaj klarneciści – Andrzej Bukowski z Olsztyna i Andrzej Wojciechowski z Gdańska.

Beethovenowska Uwertura „Die Geschöpfe des Prometheus” to dzieło grywane niezbyt często. Kompozytor w dążeniu do kształtowania własnego języka muzycznego nie pozostawiał zbyt wiele miejsca pozamuzycznej narracji, co sprawia, że jego dzieła sceniczne mogą uchodzić i często uchodzą za całkowicie autono-





# Ryszard Szmít

## Zwierzenia niekontrolowane

Moja przygoda z dźwiękiem, muzyką i nagrywaniem to była przygoda, która zaczęła się już w domu. To była także chyba kwestia samego wychowania. Ojciec, który był muzykiem i elektronikiem, konstruował jakieś magnetofony, wzmacniacze, jakieś urządzenia cudaczne i ja to wszystko, odkąd pamiętam, miałem zawsze w domu, tzn. zawsze coś tam u ojca na „warsztacie” stało.

Natomiast pierwszą taką poważniejszą pracą to były playbacki do przedstawienia wystawianego w naszym olsztyńskim teatrze – „Pieśń o drodze” Stefana Brzozowskiego i Jurka Ignaciuka. Studio zrobiliśmy wówczas w Domu Środowisk Twórczych i tam te playbacki nagrywałem. W spektaklu śpiewały m.in. Maria Meyer, która później gdzieś tam w Polsce dalej tę karierę kontynuowała oraz niezjąca już Natasza Czeretnińska.

Przedstawienie było udane, ale dosyć szybko zeszło ze sceny. Z różnych zresztą powodów. To był 1980 lub 1981 rok... – „Solidarność”... I od tego się zaczęło. A potem wyjechałem do pracy, jako że tu się zaczęło dziać coś dziwnego, zrobiło się dziwnie.

Pracowałem, grałem w knajpach i zarabiałem, żeby po powrocie takie studio nagrań zrobić. A to dlatego, że w czasach, kiedy ja byłem muzykiem, wejście do studia radiowego graniczyło z cudem. To było nie do zrobienia. Trzeba było załatwiać, mieć znajomości, a jeżeli już się weszło, to była to zwykle godzinka, może półtorej.

Po powrocie z Finlandii, z tego zarobkowego grania, zrobiłem prywatne studio u siebie w mieszkaniu. To było siódme piętro wieżowca! Później próbowałem zdobyć jakieś pomieszczenie, praktycznie już je miałem. W międzyczasie Andrzej Śleszyński, Władek Bogdanowski i jeszcze parę osób z radia nagrywało u mnie reklamy, ponieważ w radiu sprzęt był, jaki był, a ja miałem, jeśli nie jeden z pierwszych w kraju, to na pewno pierwszy w Olsztynie, „wielośląd”. To właśnie ten „wielośląd” spowodował, że większość ludzi zajmujących się profesjonalnie dźwiękiem przychodziło do mnie pracować. I tam też nagrywaaliśmy reklamy dla radia. To wówczas było coś nowego i ciekawego. Któregoś dnia padł taki pomysł – przecież my w radiu mamy studio, które na dobrą sprawę jest zamknięte na kłódkę. Duże, piękne pomieszczenie. I jakby tak połączyć siły, to może by i coś z tego wyszło.

Dwa razy próbowaliśmy. Za drugim razem się udało i w 1991 roku powstało to, co jest do dzisiaj nazywane PRO Studio.



Co na przyszłość? Przyszłość jest taka troszeczkę niejasna w tej chwili, no, bo ustawa o radiofonii, wszystkie te rozróby polityczne wokół radia i nie tylko, więc nie wiadomo za bardzo, co nas spotka. W tej chwili studio jest przez cały czas wynajmowane komercyjnie, czyli po prostu jest jakimś tam źródłem dochodów radia. Ponieważ zmodyfikowaliśmy wiele rzeczy, kosztowało to parę groszy, ale nie liczyliśmy się ani z kryzysem, ani z takim rozwojem sytuacji, jaki nastąpił w tej chwili. Obecnie jest to jedno z pięciu najlepiej wyposażonych studiów w tym kraju. Ze wspinałym nowym stołem, pierwszą instalacją tego typu w Europie, Europie kontynentalnej, no i parę jeszcze znakomitych zupełnie innych urządzeń. No i cudowne pomieszczenia. Także studio jest na bardzo wysokim poziomie. Problem wykorzystania jest problemem ogólnym w związku z kryzysem, z brakiem finansów na sztukę, na muzykę, na wszystko.

Natomiast fajnie by było, gdybyśmy próbowali zajmować się ciekawymi produkcjami z naszego regionu, których na pewno będzie jeszcze sporo. Hoboud jest tego najlepszym przykładem, a ja jestem wielkim fanem tego, co robi Hoboud.

Już to kiedyś powiedziałem, ale powtórzę jeszcze raz – jesteśmy chyba jedynym narodem na świecie, który nie lubi własnego folkloru. To jest coś niesamowitego i dziwnego. Jeżeli możemy to w jakikolwiek sposób zmienić, jeżeli jeszcze jesteśmy w stanie to zmienić, to zmieniamy. Zdecydowanie tak. □

*Wysłuchał Waldemar Tychek*



Tadeusz Szyłłejko

## Świeżej krwi trzeba...

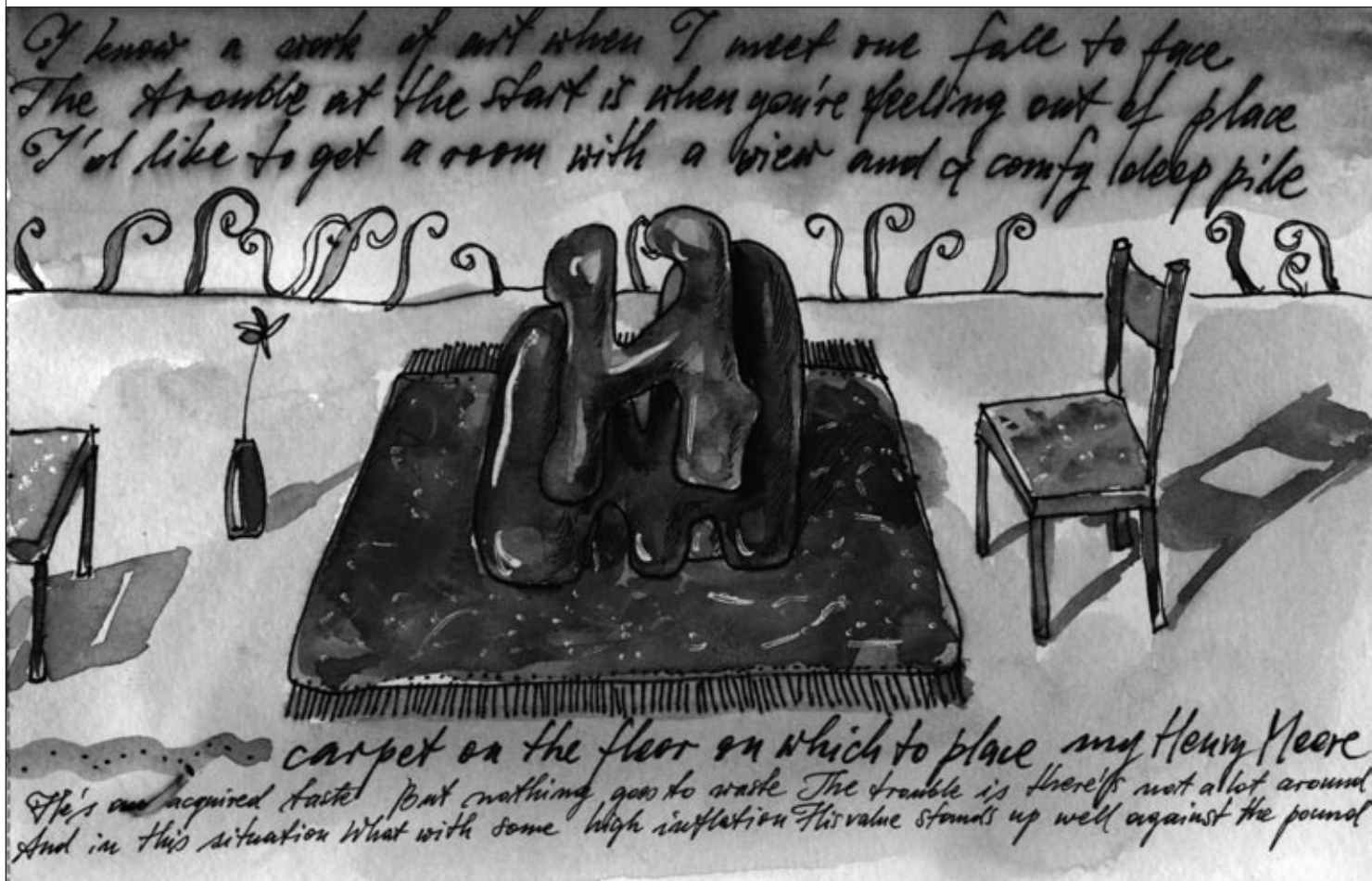
Ożywił się ostatnio patriotyzm lokalny: popierać swoich, oklaskiwać ziomków, pędzić precz przyjezdnych „spadochroniarzy”. A ja, od lat patrząc na życie artystyczne Olsztyna, coraz mocniej utwierdzam się w opinii przeciwnej: tym, czego brak najbardziej, jest dopływ świeżej krwi, ruch, wymiana. W teatrze, w wystawiennictwie, w architekturze z urbanistyką, w muzyce...

Coś wręcz na kształt szoku u słuchaczy wywołał na początku sezonu 2008/2009 koncert Polskiej Orkiestry Sinfonia Iuventus. Nie przywykliśmy do tak wyraźnej artykulacji dźwięku, trafiającej od razu w samo sedno rzeczy, do takiej przejrzystości linii i płaszczyzn. Orkiestra młoda, a już licząca się w kraju, wyselekcjonowana spośród najzdolniejszych absolwentów uczelni muzycznych, była chyba najlepszym zespołem symfonicznym, jaki kiedykolwiek wystąpił w Olsztynie.

Po takim wydarzeniu, jeśli nawet bardziej krytycznym uchem słucha się własnej orkiestry, to korzyści dla edukacji muzycznej pozostają nieocenione... Czy zatem nastąpił jakiś dalszy ciąg współpracy? Niestety, cisza. Zagrali, pojechali, po kilku miesiącach mało kto już pamięta, że byli.

W Filharmonii dominuje klasyczny podział pracy: lokalna orkiestra, plus lokalne chóry, plus ewentualnie przyjezdny solista. Ale solisty, jeżeli wybitny, warto by też posłuchać samego, w recitalu. Kto taki występ zorganizuje? Filharmonia w pierwszym rzędzie dba, co zrozumiale, o zajęcie dla własnej orkiestry. Toteż rozległe obszary muzycznego repertuaru leżą odłogiem. Na przykład kameralistyka.

A impresariów prywatnych odstraszy przykład kłopotów, z jakimi się boryka taki jazzowy klub Bohema. Przyjeżdżali tam i starzy wyjadacze, i młodzi wirtuozi, goście z awangardowych klubów Nowego Jorku, ze sławnej Knitting Factory, z wytwórni Winter&Winter. A jednak „w mieście” nieraz traktuje się ten klub jak intruza. Ostatnio nawet namiot koncertowy, rozpięty na Rybnym Targu nad estradką i stolikami, uznano za wybryk obcy olsztyńskiemu stylowi życia i kazano usunąć... □



rysunek i kaligrafia: Zbigniew Urbalewicz

## Kanion lektur JANKO MUZYKANT

Ach, gdybyż ludzkość wiedziała, ile polska powieść historyczna zawdzięcza niepozornej nowelce pt. „Janko Muzykant”, o tyle częściej zaczytywałaby się w tej historii szukając w niej motywów, które skłoniły Sienkiewicza choćby do napisania Trylogii!

Sienkiewicz bowiem zrazu ani myślał zajmować się naszymi dziejami w westernowym wydaniu, ani mu w głowie były waleczne gonitwy na oklep po stepach, bijatyki na gołe prawice i z użyciem broni białej, ni strzelawy z kartaczy i strzelb z lontem podpalanym.

Jeszcze na studiach pisze co prawda powieść „Na marne”, co, biorąc pod uwagę deklaracyjną wymowę tytułu i daleko posunięty obiektywizm autora, wyszło mu później na dobre, ale w owym czasie bardziej zajmowała go tematyka doli i niedoli warstw ubogich. Miał nadzieję swoim słowem przemawiać do sumień i pugilaresów bogaczy, by mieli wyrzuty, że to oni mają pieniądze, a nie ci wszyscy, którzy ich nie mają.

Dlatego wziął się za dłubanie nowelek, a to, że za kanwę jednej z pierwszych przyjął muzykę i skrzypce, też nie wynikało z wielkiego umiłowania i znajomości przez Sienkiewicza muzyki. Jak pisał Janka, to o muzyce wiedział tylko to, że np. taki Schubert to niezły cwaniaczek muzyczny był, bo chciał, aby mu ktoś dokończył symfonię i aż do dzisiaj wszyscy się nad tym biedzą. Natomiast jeżeli chodzi o muzyków, to należy się spodziewać, że za najwybitniejszego trębacza uznawał jedynie Eustachiusza.

Skąd zatem wziął się ten temat cokolwiek muzyczny? Ano z tego powodu, że ponury Pozytywizm nie za bardzo mu się podobał i zapragnął mu dodać nieco ducha Romantyzmu, w którym wszelakiej maści artyści rej wodzili z Mickiewiczem i Słowackim na czele.

I tak oto napisał ku pocieszeniu serc maluczkich „Janka Muzykanta”, gdzie nakreślił postać mizernego chłopca, który patrząc na prawdziwe skrzypce doznał śmiertelnych drgawek. Dodatkowo Sienkiewicz jakby usankcjonował stan pomroczości młodocianego złodziejzaska, bo przecież ów sięgnął był po skrzypce schowane w nie swoim kredensie. Oczywiście mógłby Sienkiewicz wybrać inny instrument. Wszak Janek miał taki talent, że zagrałby nawet na liściu albo i na organkach, gdyby tylko miał smyczek. A tak przy okazji proszę zwrócić uwagę na to, że filozoficzne stwierdzenia w rodzaju: „Bieda nie jest niczym hańbiącym, jeżeli ktoś ma talent”, zazwyczaj wygłaszają bogaci. I o to też chodziło Sienkiewiczowi.

Niestety, przesłanie płynące z „Janka Muzykanta” podchwycili inni pisarze. Prus napisał „Przygody Stasia”, Orzeszkowa – „Tadeusza”, a Konopnicka i Dygasiński też nie pozostali Sienkiewiczowi dłużni. W efekcie pojawiły się legiony Janków Muzykantów. A czarę goryczy przelał ostatecznie Aleksander Chomiński, który w „Złotym zegarku” przedstawił bohatera z zamiłowaniem do mechaniki tak silnym jak Janko do muzyki, kradnącego złoty zegarek dostrzeżony na wystawie sklepowej, aby zobaczyć, co też on ma w środku.

Sienkiewicz zniechęcił Janka i obrzydzenie go takie wzięło na myśl o tych wszystkich rzeszach naśladowców i naśladowniczek, że postanowił już nigdy nie wygrywać na „wyciągniętej kwincie uczucia”. Jego plan był prosty – przerzucić się na powieść historyczną. Jednak klątwa Janka Muzykanta wciąż na Sienkiewiczach ciążyła. Zaczął pisać nowelę o Władysławie Warneńczyku, a co mu wyszło? Pamiętajcie? „Bartek Zwycięzca”, psiakrew! □

# Z A S A D Y G R Y ULICZNEJ

## „TAJEMNY SZLAK STAROMIEJSKI”

„Tajemny Szlak Staromiejski” to gra uliczna wymagająca spostrzegawczości, inteligencji, wyobraźni i dobrej orientacji w terenie. Przyda się także podstawowa wiedza historyczna i znajomość serca Olsztyna – Starego Miasta, choć z pomocą zamieszczonej na okładce mapy bawić się mogą również przyjeźdźni. Koncepcja gry przypomina podchody, jej celem jest odnalezienie i rozwiązanie trzydziestu dwuwiersowych, rymowanych zagadek. Każda z nich jest jednocześnie wskazówką, gdzie szukać następnej, więc nierozwiązanie którejkolwiek oznacza porażkę.

Kolejne zagadki-wskazówki ukryte są w różnych zakamkach, niektóre podklejone pod ławki, kwietniki, parapety. Żeby je odnaleźć i odczytać, trzeba w większości przypadków posłużyć się lusterkiem. Koncepcję gry, mapę, wszystkie zagadki oraz przebieg trasy przygotował Krystian Kujawa (kontakt: [massacrecreative@gmail.com](mailto:massacrecreative@gmail.com)).

Pierwszą wskazówkę możecie znaleźć na stronie: <http://tajemnyszlak.blogspot.com>. Oczywiście jest ukryta... choć znajduje się na pierwszym planie. Odkryć ją można przy pomocy myszy. Rozwiązanie będzie miejscem ukrycia kolejnej zagadki, którą schowano w promieniu 1-2 metrów. Na każdej wskazówce oprócz rymowanej zagadki oznaczony jest również kierunek (np. SW – południowy zachód), w którym należy zmierzać, by odnaleźć kolejną w odległości od 20 metrów (w środku Starówki) do 120 metrów (na jej peryferiach).

**WAŻNE! Zagadki zostaw na swoim miejscu! Nie odrywaj ich! Daj szansę zagrać innym!**

### Kilka odpowiedzi:

1. „Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga” to hasło dobre dla poetów – w tej grze trzeba szukać wokół siebie, rozglądając się uważnie.
2. Na Tajemniczym Szlaku Staromiejskim można bawić się o każdej porze dnia, dlatego nie szukaj wewnątrz budynków i nie wyważaj zamkniętych po 18:00 drzwi.
3. Każde słowo zagadki niesie z sobą jakąś informację. Nie lekceważ tych, które wydają się wstawione „dla rymu”.
4. Zawsze, absolutnie zawsze słuchaj róży wiatrów.
5. Nie daj się zwieść najbardziej znanym zabytkom! Niektóre ze wskazówek są ukryte w mniej znanych zakątkach.
6. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia (lub stania). Jeśli nie widzisz nic, być może patrzysz pod złym kątem.
7. Żeby znaleźć rozwiązanie, trzeba czasem nałożyć na siebie dwa punkty w przestrzeni, np. stanąć tak, by wieża ratusza znajdowała się między dwiema latarniami.





- ① WYSOKA BRAMA
- ② DOM GAZETY OLSZTYŃSKIEJ
- ③ KOŚCIÓŁ I PARAFIA EWANGELICKA
- ④ TABLICA ASTRONOMICZNA KOPERNIKA
- ⑤ ZAMEK KAPITUŁY NARMIŃSKIEJ
- ⑥ STARY RATUSZ
- ⑦ KATEDRA
- ⑧ SIEDZIBA KURII
- ⑨ DAWNY SPICHLERZ
- ⑩ ODBUDOWANY BUDYNEK DAWNEJ SYNAGOGI

- BUDYNKI
- WODA
- MURY MIASTA
- SCHODY
- ŚCIEŻKI
- POMNIKI
- TABLICE PAMIĄTKOWE
- FONTANNY
- RATUSZ

100m

Olsztyn  
**Tajemny Szlak Staromiejski**  
 mapa służy wyłącznie do gry miejskiej „Tajemny Szlak Staromiejski”,  
 sporządzona na podstawie mapy z 1913r. i własnych obserwacji ©Krystian Kujawa

Weź z sobą mapę i podążaj  
 Tajemnym Szlakiem Staromiejskim.  
 Zasady gry i wskazówki na str. 31.